ROK XXXIV. Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO

WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1931.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Wpłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król, Kraków.

Nr. 3 „Roczników“ ukaże się z dniem 15 lipca 1931 r. Bardzo prosimy o łaskawe nadesłanie w jak najkrótszym czasie sprawozdań i kronik do Redakcji „Roczników O. Zgromadzeń“, Kraków, Stradom 4.

Drukarnia Związkowa w Krakowie.

II

WIELEBNY JUSTYN DE JACOBIS

ZE ZGROMADZENIA XX. MISJONARZY

BISKUP NILOPOLIS I PIERWSZY WIKARJUSZ APOSTOLSKI NA ABISYNJĘ.

I.

Narodziny i najwcześniejsze dni życia Justyna.

W starożytnem mieście Sanfele, w południowych Włoszech, na ziemi zwanej ongiś ziemią św. Feliksa, roku Pańskiego 1800, 9 października ujrzał światło dzienne nasz W i e l e b n y B i s k u p J u s t y n d e J a c o b i s. Był on siódmem z kolei dzieckiem Jana Chrzciciela de Jacobis i pobożnej Józefiny Muccia, których, po chrześcijańsku pojęty, związek pobłogosławił Bóg aż czternaściorgiem prawdziwych pociech rodziny, ojczyzny, a wreszcie i Kościoła, wszyscy bowiem ich synowie i wszystkie córki zasłynęli jako dobrzy obywatele i wierni wyznawcy rzymsko-katolickiej religji. Zaraz następnego dnia po urodzeniu kazała bogobojna matka zanieść niemowlę do kościoła do chrztu, na którym otrzymało podwójne imię, Justyna i Sebastjana.

Zaledwie mały Justynek nauczył się mówić i rozumieć słowa otoczenia, matka jego, kobieta rzadkich cnót i prawdziwej świątobliwości, całą swą kochającą duszę włożyła w pracę nad wychowaniem tego najmłodszego

wówczas syna, który kiedyś miał się stać sławą rodziny i ojczyzny i zajaśnieć jako prawdziwie święty biskup rzymskiego kościoła. Wszystkie swe wolne od domowych zajęć chwile i godziny poświęcała małemu Justynkowi, prawiąc mu codziennie o Bogu, o Madonnie, o Aniołach, o niebie, zaszczepiając powoli a dobrze i głęboko w tę rozwijającą się jak kwiat na wiosnę duszę, złote ziarenka chrześcijańskich cnót, a przedewszystkiem pobożności i nabożeństwa do Niepokalanej. Bóg najwidoczniej błogosławił jej macierzyńskiej pracy nad urobieniem tej młodziutkiej duszyczki, mały bowiem Justynek, skoro tylko trochę podrósł od ziemi, taką zaczął jaśnieć pobożnością i niebywałą w tym wieku skromnością, że całe starsze rodzeństwo, a nawet i obcy ludzie, którzy mieli sposobność przyjrzeć mu się bliżej, jednogłośnie nazwali go »malutkim świętym«, albo »malutkim staruszeczkiem«, był bowiem mimo swych kilku lat tak zrównoważony i poważny wielce, że cała rodzina i krewni nie mogli się nadziwić temu dziwnemu dziecku, co potrafiło kilka godzin nawet przesiedzieć z zamkniętemi oczyma, rozmyślając o czemś poważnie, jak całkiem dorosły człowiek. Tę tajemniczą przyczynę jego rozmyślania i tej dziwnej w jego wieku powagi zdradziła wreszcie sama jego matka, mały bowiem Justynek nie zdradzał bowiem najmniejszej ochoty do objaśniania ciekawych.

Otóż gdy pewnego razu przyszła do Jacobisów pewna pobożna pani, nazwiskiem Fernarari i zobaczywszy naszego malutkiego świętego, pogrążonego w tem jego zwyczajnem zamyśleniu, zapytała się matki o przyczynę takowego. P. de Jacobis objaśniła ją, że mały Justynek odprawia w ten sposób rozmyślanie o Życiu i Męce Pana Jezusa, o których mu codziennie sama musi opowiadać. Jako dobra bowiem matka zachęcała go do rozmyślania o Jezusie, nietylko swym własnym przykładem, ale i malutkiemi podarkami, drobiazgami, za które musiał dziękować Panu Jezusowi, rozważając Jego życie i mękę,

opowiedziane przez matkę. Dzięki więc tej przemyślnej miłości matki, mały Justynek wnet do tego stopnia pokochał to myślenie o Panu Jezusie, że później codziennie całe pół godziny musiał poświęcić rozmyślaniu, bo inaczej nie mógł sobie znaleść spokoju i miejsca. Święte to i piękne przyzwyczajenie pozostało u niego aż do śmierci. Z praktyką rozmyślania łączył nasz mały asceta prawdziwą i głęboką pobożność, skupienie ducha, prawdziwie chrześcijańską i rzadką w tym wieku cierpliwość i rozwagę ducha, bądź to w powodzeniach, bądź w niepowodzeniach i cierpieniach. Te codzienne dziecięce rozważania cierpień Pana Jezusa stały się źródłem jego nadzwyczajnej miłości ku bliźnim, zwłaszcza ubogim, jego wielkiego szacunku i posłuszeństwa dla rodziców i przełożonych, zwłaszcza czerpał w nich swą gorącą miłość do Madonny i to szczególniejsze nabożeństwo, które nie wygasło w jego duszy do śmierci. Wszystkie te piękne przymioty serca i duszy, a raczej cnoty, zjednały mu i u Boga i u ludzi łaskę wśród łask, pierwszą Komunję św., którą przyjął w dziewiątym roku życia. Kościół św. rzadko, co prawda, pozwalał tak młodym dzieciom przystępować do Stołu Pańskiego, ale w tym wypadku zwyczaj musiał ustąpić przed wielką dojrzałością duchową małego Justyna, którego pobożność i świętość znali i podziwiali wszyscy. Dzień pierwszej Komunji św. był dla niego dniem podwójnie świętym, tegoż bowiem samego dnia udzielił mu biskup Sakramentu Bierzmowania.

II.

Wzór ucznia.

Ponieważ w maleńkiem naówczas miasteczku Sanfele nie było żadnej wyższej uczelni, gdzieby liczne dzieci p. de Jacobis mogły znaleść odpowiednie wykształcenie, przeto ten ostatni postanowił przenieść się z całą familją

do Neapolu, czego też w r. 1812 rzeczywiście dokonał i zamieszkał tamże na stałe. O ile nam wiadomo, zmusiły go do tej translokacji prócz wymienionych jeszcze i inne okoliczności, wśród których pierwszą były kłopoty finansowej natury, małe bowiem prowincjonalne miasteczko, nie dawało mu możności do szerszej i owocniejszej pracy i do obfitszego zarobku, a liczna rodzina z dnia na dzień coraz więcej potrzebowała, bo dzieci rosły i kształciły się.

Osiadłszy na stałe w Neapolu, bogobojna p. de Jacobis w pierwszym rzędzie rozglądnęła się po mieście za dobrym kapłanem, któryby mógł, jako spowiednik i nauczyciel duchowny pomóc jej urabiać młode dusze jej kochanych dzieci. Po niedługich staraniach istotnie znalazła w klasztorze de Montesanto prawdziwego mistrza w prowadzeniu dusz do świętości, w osobie świątobliwego Karmelity O. Cacace, któremu też z całą macierzyńską ufnością powierzyła dusze swych dzieci. I nie zawiodła się w tym wyborze ta prawdziwie chrześcijańska matka. Wszystkie jej dzieci, a przedewszystkiem nasz mały Justynek, pod czujnem okiem tego gorliwego przewodnika, zaczęły robić tak zdumiewające postępy w pobożności, że szczęśliwa matka ze łzą w oku dziękowała nieraz Bogu za łaski, któremi zlewał jej i dzieci dusze przez ręce tego bogobojnego męża. Obfitość tych łask objawiała się zwłaszcza na duszy Justyna, który teraz zaczął poprostu biec na drodze chrześcijańskiej doskonałości. Wnet prześcignął całe swe rodzeństwo, idąc wytrwale z cnoty w cnotę, z doskonałości w heroizm.

Nie długi czas upłynął od zamieszkania w mieście, a już znała go cała dzielnica, w której mieszkał, i szkoła, do której uczęszczał. Dziwna jednak, że tego małego, rwącego się do życia i nauki chłopca, nic jednak nie mogło sprowadzić z drogi pobożności na ścieżki, po których zwykle błąka się lwia część uczącej się młodzieży. Na naszego bohatera nic nie działało rozpraszająco czy

też destruktywnie. Ani styczność ciągła ze światem, ani codzienne obcowanie z porywczą młodzieżą szkolną, nie dawały mu powodu do zaniedbywania się w pobożności i doskonałości. Łaska Boża czuwała najwidoczniej nad tem wybranem dzieckiem. Tak myśleli rodzice jego i tak sądził sam jego duchowny dyrektor. I nie mylili się. Mały Justyn był wybrańcem Niebios. O. Cacace spostrzegł to już dawniej, ale z początku zdało mu się, że to taka pierwsza nieposkromiona gorliwość. Ale nasz młody bohater z dnia na dzień, z godziny na godzinę zapalał się coraz to więcej i szedł naprzód niestrudzenie, tak, że wkrótce duchowny jego nauczyciel widział się wprost zmuszonym do stawiania go za przykład innym mniej gorliwym i wytrwałym swym uczniom i wychowankom.

Jeszcze w czasie uczęszczania do szkoły w Neapolu zawarł był nasz młody bohater z jednym ze swych kolegów, równie zdolnym i pobożnym, prawdziwie świętą przyjaźń, która przetrwała niezamącona przez wszystkie lata nauki aż do ich śmierci. Przyjacielem tym był Wincenty Spaccapietra, który później razem z Justynem wstąpił do Zgromadzenia XX. Misjonarzy i podobnie jak i nasz bohater został arcybiskupem Smyrny. Temuż świątobliwemu biskupowi, a zarazem koledze i współbratu Justyna de Jacobis, zawdzięczamy bardzo ważne, a drogie i pewne świadectwo o życiu naszego bohatera z czasów studenckich z Neapolu.

»Miałem zaszczyt i szczęście poznać najczcigodniejszego księdza biskupa de Jacobis — pisze biskup Spaccapietra — jeszcze w czasie pierwszych lat studjów w Neapolu, uczęszczaliśmy bowiem do tej samej szkoły. On jeden tylko wśród nas wyróżniał się swoją anielską cnotą i rzadką skromnością, oraz przez dziwny, nigdy niegasnący zapał do wielkich i szlachetnych czynów. Nigdy przez cały czas nauki nie mogłem u niego, czy też w jego postępowaniu nic takiego zauważyć, coby mogło

w jakikolwiek sposób przyćmić powszechną opinję o jego świątobliwości«.

Często zwłaszcza w naszem i ubiegłym wieku zdarzało się i zdarza, że pobożne i dobre dzieci, uczęszczając do tak zwanych »postępowych« czy »niezależnych« szkół, wynoszą stamtąd jakąś dziwną skłonność, a czasem nałóg do pogardzania wszelkim autorytetem, czy to ojcowskim, czy przełożeńskim, niektóre nawet tracą tam wiarę i wszystko, co im wszczepiła rodzicielska troskliwość i miłość, z czasem, co najboleśniejsze, przeradzają się poprostu w niedowiarków, nie uznających żadnych obowiązków, posłuszeństwa, wdzięczności, czy choćby uszanowania tylko dla swych rodziców i przełożonych. Tym zabójczym wpływom »wyzwolonych szkół« neapolitańskich, ulegała w czasach, kiedy żył nasz bohater, prawie cała młodzież, uczęszczająca z nim razem na wykłady nieco wolnomyślnych nauczycieli włoskich. Na Justyna jednak to zaraźliwe powietrze wolnomyślności w nauczaniu na religji nie podziałało chorobliwie, lecz owszem, im więcej stykał się on z zarazą, tem więcej uodparniał się jego duchowy organizm, tem więcej cnota jego i pobożność mężniały, hartując się w ogniu doświadczeń. Mimo prób i przeciwności szedł on wciąż wytrwale naprzód ku niezmiernej radości rodziców, a zwłaszcza kochającej matki, która widząc postępowanie dorastającego syna, zaczynała powoli umacniać się w przekonaniu o cnocie i niewinności syna, bo i cóż milszego dla matki, jak świętość syna.

Pewnego jednak dnia zadrżało jej serce z niepewności i trwogi. W pokoiku Justyna znaleziono między książkami i kajetami przedmiot drogocenny, który na pierwsze wejrzenie zdawał się rzucać na niewinnego Justyna, co go był gdzieś znalazł, bardzo złe światło. Ojciec Justyna z natury popędliwy, zobaczywszy ten podejrzany przedmiot, w tej chwili poszedł z nim do naszego młodzieniaszka i bez długich wstępów zaczął na niego krzy-

czeć i równocześnie karać go w bardzo dotkliwy sposób. Justyn, który liczył wówczas 18 wiosen życia i do tego nie czuł się całkiem winnym, w milczeniu, ze spokojem, zniósł razy i krzyki ojcowskie, a potem widząc, że już pierwszy gniew u ojca przeminął, upadł pokornie na kolana i obejmując z miłością ojcowskie nogi, rzekł: »Ojcze, nawet i te razy, któreś mi wymierzył, są dla mnie dowodem twojej ku mnie miłości. Ale nie smuć się, jestem niewinny!«. Ta przeogromna cierpliwość i pokora syna, te pełne miłości synowskiej słowa ocuciły porywczego ojca. W pierwszej chwili nie mógł ze wzruszenia wyrzec ni słowa, ale skoro przeszło, zwrócił się do Justyna, a raczej do całej rodziny, która się zbiegła interwenjować, w razie czego, za Justynem i zawołał: »Dzięki Ci Boże, nasz Justyn, to nie człowiek z ziemi, to anioł prawdziwy«.

III.
Powołanie kapłańskie.

Niezaprzeczenie wielką łaską jest powołanie do stanu duchownego, ale nierównie większą jest powołanie do świętości, do heroicznej doskonałości, do przyświecania drugim z wyżyn ołtarzów Pańskich. I stokroć szczęśliwa dusza, która powolnie nachyla ucha na ten przesłodki szept łaski i pełna szlachetnego posłuszeństwa zrywa się zaraz i idzie za Chrystusem, który jest dla niej Drogą, Prawdą i Życiem.

W roku 1625 genjusz miłosierdzia chrześcijańskiego św. Wincentego a Paulo założył w Paryżu Zgromadzenie męskie XX. Misjonarzy, któremu za główny cel podał urządzenie misyj wśród najbardziej opuszczonego ludu po wsiach i duchowno-naukową reformę świeckiego kleru »Ad salutem pauperum et cleri disciplinam«. Nowe to Zgromadzenie założone przez św. Wincentego było poniekąd rewelacją w historji kościoła katolickiego, tak ze

względu na swoją wewnętrzną organizację, nie był to bowiem jakiś nowy zakon, ale Stowarzyszenie świeckich księży, pragnących wspólnie pracować nad zbawieniem dusz. Również i ze względu na swój cel, różniło się to Zgromadzenie od wszystkich dotychczasowych zakonów, albowiem żaden z nich dotąd nie postawił sobie za pierwszy i bezpośredni cel ewangelizowania tych najbardziej opuszczonych, których sam Jezus Chrystus najwięcej zdaje się miłował, skoro na dowód swego Boskiego posłannictwa zaraz po cudach tę właśnie czynność swoją przywodzi: »Pauperes evangelizantur«, którą to nowe Zgromadzenie obrało sobie za dewizę życia i postępowania. Wnet po założeniu okazała się wielka aktualność tej nowej kongregacji w Kościele Bożym. Okres bowiem założenia Zgromadzenia XX. Misjonarzy, to okres cichych, ale zażartych walk z różnemi herezjami, które raz po raz podnosiły zuchwale bunt przeciw władzy ustanowionej przez Boga, zarzucając jej coraz to nowe niby braki i błędy w ustroju kościelnym, w zarządzie, w praktykach, a przedewszystkiem w nauczaniu, w opowiadaniu wiernym prawdy objawionej. Zarzucano mianowicie Kościołowi, że dba tylko o te owieczki, które są na dworach królewskich i książęcych, które są po miastach, a zapomina całkiem prawie o tych najbiedniejszych, które los okrutny porzucił, gdzieś w oddalonych, zapadłych wioszczynach, które natura po macoszemu potraktowała. Otóż na te wszystkie zarzuty, przeważnie niesłuszne, dał teraz Kościół katolicki przez to właśnie nowe Zgromadzenie, którego jedynym i zasadniczym celem miała być ewangelizacja tych najopuszczeńszych z ludzi, dostatecznie przekonywującą odpowiedź. Po tym dowodnym argumencie ze strony Kościoła, musiały się uciszyć oszczercze głosy heretyków, zwłaszcza później, gdy wielki Założyciel XX. Misjonarzy rozwinął swą wszechświatową prawie działalność charytatywną wśród tych najmniejszych i najbardziej opuszczonych. Po tem nikt już nie śmiał i nie śmie za-

rzucać Kościołowi, że nie wypełnia wiernie wszystkich zasad ewangelicznych, albowiem odtąd już bez wyjątku wszystkim zaczęto łamać chleb słowa Bożego i dzielić się sercem w szczęściu i nieszczęściu.

Do tego to nowego Zgromadzenia, którego celem było, jest i będzie, dopóki Bóg zechce, nauczanie tych najbiedniejszych i najuboższych w społeczeństwie, których nigdy nie brakowało i nie braknie, według słów Chrystusa, poczuł się powołanym nasz święty młodzieniec Justyn de Jacobis. Że zaś to powołanie było tak prawdziwie od Boga, świadczą choćby te drobne, bo drobne trudności, stawiane przez rodzinę i przyjaciół, ale zdolne zmusić do zmiany decyzji 18-letniego młodzieńca, do którego zdawał się uśmiechać świat i powodzenie. Po przezwyciężeniu wszystkich tych przeszkód i trudności, wstąpił wreszcie nasz bohater do XX. Misjonarzy dnia 17-go października 1818 r. Zwłaszcza świątobliwy duchowny, przewodnik Justyna, Karmelita O. Cacace wspierał go światłą swą radą i pomagał omijać szczęśliwie wszystkie zawady, leżące na drodze jego powołania. W dzień wstąpienia odprowadził go do prowincjonalnego domu XX. Misjonarzy w Neapolu, przy którym mieściło się i seminarjum duchowne, gdzie, jakoby oddając swego penitenta i ucznia tamtejszemu X. dyrektorowi, rzekł ze wzruszeniem: »Jakże się cieszę, że mogę z tego młodzieńca zrobić podarunek waszemu Zgromadzeniu!«

IV.
Gorliwy kleryk.

I naprawdę nie mylił się pobożny Karmelita O. Cacace, mówiąc, że robi Zgromadzeniu podarek z tego obiecującego młodzieńca, albowiem wnet pokazało się, że młody Jacobis, to człowiek rzadkich i wielkich zalet serca i duszy, że to skarb prawdziwy.

Biskup Spaccapietra, który, jak to już wspomnieliśmy, był jego współbratem, towarzyszem zarazem i przyjacielem

w seminarjum, zostawił nam między innemi to piękne wspomnienie o Justynie z okresu wspólnego ich pobytu w Neapolu. »Nigdy nie mogłem się dość nadziwić jego nadzwyczajnej dokładności i skrupulatności w zachowywaniu przepisów i reguł; nie widziałem też w nim nic takiego, coby można było nazwać błędem. A już w pokorze swojej to był zachwycający«.

Inny znowu jego kolega ze seminarjum poświadcza: »Cierpliwość jego i przedziwna pokora czyniły go miłym dla wszystkich, w towarzystwie jego czułem się tak szczęśliwy, że nigdybym go nie porzucił, by z kim innym spędzić rekreację«.

Podobnie wielką i głęboką odznaczał się też pobożnością. Wszystkie wolne od nauki i innych zajęć chwile spędzał w kaplicy przed utajonym w tabernaculum Zbawcą. Często go tam można było spotkać, jak zatopiony w modlitwie, z oczyma utkwionymi w Krucyfiks, klęczał długo jakby w ekstazie, z której nic go nie mogło wyrwać. Zdarzało się, że i godzinę tak przeklęczał, nie zwracając uwagi na przychodzących i wychodzących kolegów swoich, którzy często szli do kaplicy po to tylko, by zobaczyć jak się modli. A piękna to zaiste musiała być modlitwa, jeżeli nawet klerycy, te prawdziwe dzieci modlitwy, często sobie powtarzali między sobą: »Patrz, jak się pięknie modli ten Jacobis«. Nieustannie także się umartwiał, wykorzystując do tego każdą, by najmniejszą sposobność. Wogóle we wszystkich cnotach robił zadziwiające wprost postępy. Szedł krokiem olbrzyma po ciernistej ścieżce doskonałości chrześcijańskiej, nabywając z dnia na dzień tego ducha doskonałości, którym było ożywione przez św. Wincentego Zgromadzenie XX. Misjonarzy, którego stał się członkiem.

Ale przedewszystkiem, jak pisze bp. Spaccapietra odznaczał się ogromnem, a tak dziecięco prostem nabożeństwem do Niepokalanej, że stawiano go wszystkim za przykład. Podczas wszystkich rekreacyj, w gronie swych kolegów rozmawiał często z żywiołowym i porywającym

zapałem o swej ukochanej Madonnie, nie wstydził się też odkrywać własnych uczuć względem Niebieskiej Matki. Zawsze miał pod ręką jakieś budujące a ciekawe opowiadanie o Jej łaskawości albo miłosierdziu i przedstawiał to kolegom w tak żywych i barwnych słowach, że go słuchano z zapartym oddechem. Przypominam sobie jak pewnego dnia rozmawiając o Madonnie, zaczął naraz wyliczać całą litanię tytułów i nazw pochwalnych Marji, które ujął w rodzaj wiersza, żeby nas zachęcić do większej jeszcze miłości i ufności w opiekę Tej, którą po Jezusie najwięcej ukochał. Nie mogę już dzisiaj z pamięci powtórzyć tych wszystkich tytułów, któremi on wtedy ubrał imię Madonny. Tak prawie codzień na takich rozmowach przepędzaliśmy w jego towarzystwie rekreacje i dziwna rzecz, nigdy nas to nie nużyło, lecz owszem, wszyscyśmy się cieszyli niezmiernie z tych jego rozmów o Madonnie«.

To jego szczególniejsze nabożeństwo do Niepokalanej i w późniejszem życiu nie stygło, lecz w ciągu dalszym coraz to więcej się pogłębiało i rozpalało. W tem to jego nabożeństwie, w tej jego miłości do Marji, jak później zobaczymy, leży cała tajemnica jego tak płodnej apostolskiej pracy. Po ukończeniu dwóch lat seminarjum, dnia 18 października 1820 r. złożył śluby św. a potem oddał się dalszym studjom teologiczno-filozoficznym. — Z jakim zaś zapałem i gorliwością studjował te dwie pokrewne sobie gałęzie wiedzy, to świadczyć o tem może jasna i pewna nauka katolicka, zawarta w jego kazaniach i listach, jak również i we wszystkich jego czynnościach misjonarsko-biskupich. Z tego wszystkiego z całą pewnością możemy wnioskować, że nasz bohater oddawał się nauce z rzadką pilnością, ale nie pożądał nigdy tej wiedzy, która nadyma ku pysze, nie będąc połączoną z cnotą, lecz raczej przyswajał sobie tę wielką, tę najgenialniejszą ze wszystkich naukę, którą się chlubił apostoł narodów Paweł św., naukę czytania i rozumienia Krzyża Chrystu-

sowego, z którego jedynie najjaśniejsze bije światło dla każdej duszy, dla każdego umysłu.

V.

Pobyt w Oria — kapłan i apostoł.

Pod koniec studjów teologicznych na polecenie przełożonych udał się de Jacobis do miasta Oria, gdzie się znajdowała stara rezydencja XX. Misjonarzy, w której zwykle gromadzili się młodsi klerycy misjonarscy, bliscy święceń kapłańskich, by tam w ciszy i spokoju odprawić rekolekcje przed święceniami i przygotować się godnie do tej wielkiej chwili w życiu. Dom w Oria był bardzo odpowiedni do tego rodzaju przygotowań się i ćwiczeń duchownych, panowała w nim bowiem niczem nie zamącona cisza i jakaś dostojna powaga, usposabiająca do skupienia i modlitwy. Obecnie stary ten, ale piękny pomisjonarski dom służy za mieszkanie licznym miejskim i państwowym urzędom.

Wkrótce po przybyciu do Oria otrzymał nasz bohater z rąk X. bpa Triggiano, ordynarjusza w Oria, tonsurę i cztery pierwsze mniejsze święcenia w kaplicy biskupiej, dnia 7 grudnia 1823, 20 tegoż samego miesiąca subdjakonat w kościele SS. Benedyktynek. Dwa miesiące później, to jest 13 marca 1824 r. otrzymał djakonat w kaplicy seminaryjnej przy domu XX. Misjonarzy. Kapłańskie wreszcie święcenia otrzymał dnia 12 czerwca 1824 r. z rąk X. arcybiskupa z Brundyzjum w kościele katedralnym w Oria.

W Oria, w małym kościółku XX. Misjonarzy do dziś dnia jeszcze pokazują ołtarz, przy którym X. de Jacobis odprawił swoją pierwszą mszę św.. Z domu w Oria rozpoczynał potem X. de Jacobis jako młodziutki kapłan swoje pierwsze wyprawy misyjne na rekolekcje po okolicznych wioskach, gdzie zbierał pierwsze plony swego

apostołowania i swej świetnej a potężnej wymowy. W towarzystwie swoich starszych konfratrów przebiegał prawie wszystkie wioski dość obszernej djecezji Oria, poczynając od Torentu i Brundyzjum aż po Ostuni i Monopol.

Dom w Oria cieszył się posiadaniem tego młodego a tak gorliwego kapłana przez sześć lat blisko i był jakby napełniony wonią jego rzadkich cnót. Że zaś i teraz jeszcze mógł nasz bohater stanąć innym za przykład pod każdym względem, świadczy następujące naoczne świadectwo jednego z jego konfratrów, a mianowicie X. Modestyna Jandoli. »Jakże to dobrze było dla mnie i pożytecznie — mówi ten czcigodny kapłan — przebywać razem z X. de Jacobis i podziwiać jego przykład prawdziwie bożego życia, który nam wszystkim w domu dawał przez swoją regularność, przez swój niegasnący zapał, przez umartwienie, pokorę i wytrwałą pracę. Zawsze był on wytrwałym i nieznużonym w pracy... zawsze zadowolonym z tego, co mu dawano do stołu i do ubrania się... Nigdy nikt nie widział go niezajętym, zawsze czytał, pisał albo spełniał swe obowiązki kapłańskie, funkcje w kościele, spowiadając i każąc, nie tracił ani chwilki czasu. Zawsze był gotowy do pracy i trudu, do wszystkich — najniższych nawet czynności naszego Zgromadzenia... Kiedy tylko on pokazał się na ambonie, tłumy całe zapełniały świątynię i słuchały go w skupieniu... Nigdy nie kazał nadaremno, konfesjonały po każdem jego takiem kazaniu były formalnie oblężone. Również nadzwyczajnie wytrwałym był jako spowiednik. Całemi godzinami siedział czasem w konfesjonale otoczony potężnym pierścieniem penitentów. W obcowaniu swojem z ludźmi nie robił on żadnych wyjątków między uczonymi a prostaczkami, między mężczyznami a niewiastami, między starymi a dziećmi, wszystkich jednako zdawał się miłować, nikogo nie odprawił od siebie bez pociechy, bez dobrego choćby słowa. Był zawsze do dyspozycji i do usług wszystkim, czy to w ko-

ściele, czy w domu... często do późnej nocy pracował, byleby tylko zrobić ludziom dobrze.

Takie były pierwsze lata pracy przyszłego Apostoła Abisynji.

VI.
Na nowej placówce w Monopolu.

W kilka lat po poświęceniu na kapłana, przełożeni widząc, że de Jacobis dzielnie i zręcznie umie się brać do pracy, polecili mu razem z drugim jeszcze księdzem i dwoma braćmi założyć w Monopolu dom misjonarski. Wiele tam musiał nasz bohater znieść przeciwności i utrapień, zanim dom został wreszcie założony i odpowiednio zaopatrzony, ale dzięki jego wytrwałości, wszystko dobrze się powiodło na większą chwałę Bożą i na dusz zbawienie. O pracy zaś jego na tym nowym posterunku świadczą nam wyraźnie niektóre listy i rozkazy przełożonych Zgromadzenia w sprawie otwarcia i zaopatrzenia tego nowego domu w Monopolu. Z tych pożółkłych kart, z dokumentów tych śmiało możemy wnioskować, że życie naszego bohatera na nowej placówce wcale nie było lekkie, lecz owszem bardzo wiele wymagało odwagi i samozaparcia. Dzień w dzień bowiem trzeba było na parę godzin zasiadać do konfesjonału, a co niedziela i święto głosić po dwie lub trzy nauki z ambony, a do tego dołączały się setki innych spraw. X. de Jacobis nie zadawalał się bowiem tylko pracą w kościele, lecz ciągle robił dłuższe lub krótsze wycieczki w okoliczne wsi, odwiedzając ubogich chorych, opatrując umierających, godząc powaśnionych i załatwiając inne przeróżne sprawy, związane z jego apostolsko-kapłańskim urzędem.

Nie podobna wprost policzyć wypadków i wydaje się to rzeczą wprost nie do uwierzenia, ile on sam jeden na szerokiem polu miłosierdzia załatwił wtedy spraw,

wymagających wielkiej miłości, roztropności i dyskrecji. Cały czas jego pobytu tamże był nieustannem ćwiczeniem się w miłości bliźniego i w poświęceniu. Pamięć jego do dziś dnia jeszcze błogosławią okoliczne wioski, błogosławią kapłani, którym pomagał w pasterzowaniu, błogosławią rzemieślnicy, chłopi, panowie, słowem wszyscy, co mieli szczęśliwą sposobność poznać go, wszystkim bowiem chciał ten gorliwy kapłan robić dobrze, wszystkich kochał, jak braci swoich, jak siostry. O wszystkich w wiosce i okolicy myślał i o wszystkich się starał, o sobie samym zapominając, nie dbając ni o ubranie, ni o wikt, łamiąc się z własnemi przyzwyczajeniami, pragnieniami i zapatrywaniami. Każdy dzień znaczył złotą, a czasem tak krwawą pieczęcią umartwienia i ofiary.

Było to zdaje się w r. 1830. Pewnego wieczoru nasz niestrudzony X. de Jacobis wyszedł na ambonę, by jak zwykle powiedzieć słów kilka do zebranego na wieczorne nabożeństwo ludu. Nagle w połowie kazania zawezwano go przez konnego kurjera do pewnego umierającego pana z Fassano, nawiskiem Michała Pepe, który był wielkim przyjacielem X. Justyna i jego penitentem. De Jacobis, usłyszawszy tę smutną wieść pospieszył się trochę z przemową i następnie, jak był ubrany na kazalnicy, tak się udał do chorego, nie zważając, że był zgrzany i że noc była ciemna i zimna. Posłaniec, który przybył po niego, radził mu się cieplej ubrać, zwłaszcza, że zanosiło się na burzę, ale X. Justyn nie chciał na przebieranie się tracić czasu. Wyjechali więc tak, jak stali. X. de Jacobis zabrał Wiatyk św. i Oleje, i siadłszy na konia, ruszył w ciemną noc. Towarzyszył mu posłaniec, idąc z boku z latarką i prowadząc konia za uzdę. Po ujściu kilku staj, wyszli na otwarte pole i dopiero zaczęła się bieda. Wiatr wiał tak potężnie, że nie można było ni słowa przemówić. Wkrótce i latarnia została zagaszona, a nasi podróżnicy musieli jechać w tak gęstych ciemnościach, że prawie siebie nie widzieli, a tu droga była nierówna i wyboista.

Posłaniec zaczął z początku narzekać na wiatr, na dantejską noc, to na dziury w drodze, ale wnet dał temu spokój, widząc cierpliwość X. de Jacobis, który mimo że się bał sam pobłądzić i spóźnić do chorego, niczem jednak nie objawiał swego niezadowolenia czy obaw. A mrok stawał się coraz większy i wiatr dął coraz potężniej. Zaczęły się coraz to częstsze potykania po wybojach i głazach, aż wreszcie nie wiedząc już nic zgoła, gdzie się skierować, stanęli bezradni na drodze. X. Jacobis i teraz jednak nie stracił otuchy, kazał puścić konia wolno, sądząc, że zwierzę lepiej odnajdzie drogę do domu niż oni, a sam tymczasem pocieszywszy kilku słowami swego przewodnika, zaczął śpiewać »Ave maris Stela...« Witaj Gwiazdo morza, wierząc mocno, że Niepokalana dopomoże im w tej biedzie. I nie zawiódł się. Nagle bowiem jakieś dziwne białe światło — słowa są przewodnika — otoczyło osobę X. Justyna i towarzyszyło im, świecąc po drodze aż do samego Fasano. Przyszedłszy do mieszkania p. M. Pepe, X. de Jacobis wysłuchał spowiedzi chorego przyjaciela, udzielił ostatniego Namaszczenia, ale nakoniec powiedział mu, że za kilka dni ozdrowieje. Na te słowa chory i wszyscy obecni nie mogli wyjść ze zdziwienia, skąd to X. Justyn wywnioskował, że ten prawie konający człowiek, za kilka dni będzie na nogach, ale nie mogli się niczego dowiedzieć. X. de Jacobis, pożegnawszy się, odjechał. Istotnie za kilka dni chory był już na nogach i przyszedł do Monopolu podziękować X. Justynowi za modlitwy jego, które mu według jego przekonania przywróciły zdrowie i życie. Nigdy już do śmierci nie zapomniał Michał Pepe o swym świętym przyjacielu z Monopolu. Nie zapomniał też o X. de Jacobis ów posłaniec, który go prowadził w ową ciemną noc do chorego. Przy każdej sposobności opowiadał, jakto im lampa zgasła, jak się koń opierał, jak X. de Jacobis zanucił »Ave maris Stella« i... otoczyła go jakaś dziwna jasność, że już potem bezpiecznie dojechać mogli do Fasano.

VII.
Pobyt w Lecce.

Dnia 6 lutego 1834 r. X. de Jacobis opuścił na rozkaz przełożonych Monopol i udał się do starego misjonarskiego domu w Lecce, który do dziś jeszcze stoi, ale zamieniony na więzienie. W domu tym przebywał blisko dwa lata, będąc dla wszystkich zbudowaniem i przykładem najwyższych cnót, pociągając wszystkich do ofiarnej miłości Bożej i do czynienia dobrze wszystkim bez wyjątku bliźnim. Przez całe te dwa lata był mimo swego młodego wieku ojcem jakby duchownym wszystkich prawie konfratrów. Przez całe te dwa lata był również ojcem jakby duchownym wszystkich tamtejszych konfratrów. Najgłówniejszem jego zadaniem w tym domu było opowiadanie słowa Bożego. Apostolskie to zajęcie spełniał z największym zda się zapałem i zamiłowaniem, to też przełożeni z radością polecali mu pouczanie już nietylko biednego wiejskiego ludu, który się zewsząd gromadził na misje, ale i pobożnych kapłanów, gromadzących się u Misjonarzy na rekolekcje. Kazał więc nasz bohater codziennie po kilka razy, raz w różnych kościołach do ludu, to znowu do księży, to do kleryków, to znów gdzieś w żeńskim zakonie i tak bez końca. A słowa jego, czy to zwrócone do prostaczków, czy do uczonych, zawsze były pełne natchnienia i namaszczenia, pełne głębokiej treści, mimo, że były łatwo zrozumiałe i proste na pierwszy rzut oka. Nic też dziwnego, że tak umiejąc mówić, pociągał ludzkie serca do siebie, przekonywując i nawracając je do Boga. Źródłami, z których czerpał swe natchnienie duchowne, swoją przekonywującą i ciętą argumentację, było przedewszystkiem Pismo św. i inne duchowne księgi, potem i to codzienne jego godzinne rozmyślanie u stóp Jezusa Ukrzyżowanego, w którego ramach czerpał ten swój płomienny zapał, cechujący wszystkie jego by najkrótsze przemowy. Żadnego

wogóle kazania nie rozpoczynał, zanim się wpierw nie pomodlił. Pewnego razu, było to późno wieczorem w przeddzień jakiegoś kazania, udał się X. de Jacobis, jak zwykle przed Najśw. Sakrament, by tam zagrzać swą duszę na jutrzejsze wystąpienia. Tak jednak żarliwie tam się zamodlił, że ani spostrzegł, jak minęła noc. Toteż, gdy nazajutrz rano przyszedł braciszek, któremu polecone było budzić cały dom, X. de Jacobis z całą prostotą zapytał się: »Czy to teraz dzwonili na spanie«? Skoro jednak zdumiony trochę brat rzekł, że to był dzwonek na wstawanie, a nie na spanie, nasz bohater nie rzekł już więcej ni słowa, ale spokojnie udał się do oratorjum na swoje miejsce do ławki, by odprawić ranne modlitwy i rozmyślanie.

Fakt ten autentyczny dosyć zdaje się mówić nietyle o jego troskliwości w przygotowaniu kazań, ile raczej o wielkiej miłości względem Eucharystycznego Jezusa i ufności, która u stóp Tabernaculum kazała mu szukać natchnienia i rady, co i jak mówić, co i jak czynić.

W Lecce jak i przedtem w Monopolu zajmował się nasz bohater prócz kazań także chorymi na ciele i duszy. Chodził po okolicy od domu do domu i wyszukiwał ubogich chorych, leczył im sam duszę przez Sakrament Pokuty, nierzadko także bardzo wydatnie i szczęśliwie doradzał, jak ciało leczyć. Dziwna rzecz, że te proste rady czcigodnego kapłana lepsze się czasem okazywały od djagnoz i wskazań lekarskich. Często nawet krążyły i dotąd krążą wieści, że dotykiem swoim uzdrawiał ludzi.

Wśród licznych łask, jakiemi go obdarzyło Niebo, należałoby tu wspomnieć dziwny dar X. de Jacobis czytania w przyszłości, a przedewszystkiem w duszach ludzkich. Wszystkie przez niego przepowiedziane rzeczy spełniły się prawie dokładnie. Pewnego razu miał się zwrócić do jakiegoś młodzieńca, który chciał zostać franciszkaninem, i przepowiedzieć mu, że nie franciszkaninem będzie, ale braciszkiem w Zgromadzeniu XX. Misjonarzy.

Młodzieniec z początku się szczerze uśmiał z tego proroctwa X. de Jacobis, ale mimo to niedługo bawił u OO Franciszkanów i wstąpił do XX. Misjonarzy, gdzie według przepowiedni X. de Jacobis żył długo i tak przykładnie, że stał się prawdziwym aniołem miłości braterskiej, wzorem pokory i umartwienia i okazał się godnym naśladowcą i współzawodnikiem naszego bohatera, który mu objawił zamiary Boże względem niego. Braciszkiem tym był Augustyn Giancane. Ale nietylko w tym jednym wypadku objawiła się ta dziwna zdolność X. de Jacobis, że mógł tak jasno przepowiadać temu młodzieńcowi przyszłość. Takich przykładów możnaby tu przytoczyć dziesiątki całe. Zdarzały się one zwłaszcza wtedy, gdy zwracali się do niego klerycy, prosząc go, jako przewodnika duchowego, o rozstrzygnięcie sprawy, czy są powołani na kapłanów, czy też nie. W takich to razach umiał X. de Jacobis prawdziwie odkryć powołanie i uzasadnić, albo też przeciwnie, wskazać inną dobrą drogę. Z ogromną czcią i miłością odnosił się do tych, co byli prawdziwie powołani, wierzył bowiem niezbicie, że z takich tylko wyrośnie plemię Boże, prawdziwi kapłani według Serca Bożego. Często słyszano go, jak podczas duchownych konferencyj mówił do kleryków: »Dzieci najdroższe, wierzajcie mi, kogo Bóg nie powołał do stanu kapłańskiego, to lepiejby takiemu było, żeby coprędzej złożył sukienkę duchowną i został żołnierzem«.

Dużo także światła na postać X. de Jacobis rzucają następujące słowa pewnego świeckiego księdza, nazwiskiem Ludwika Martirano, który często bywał w domu XX. Misjonarzy w Lecce: »X. de Jacobis lubiał i był często samotny, tak przez swoje pokorne odsuwanie się od wszystkiego, co trąciło rozgłosem, jak i przez swoją niezwykłą cnotę. Zawsze był uważany za świętego nietylko przez współbraci Misjonarzy, ale i przez cały okoliczny lud. Ja osobiście nie miałem sposobności poznać go bliżej, słyszałem go tylko dość często, jak mówił ka-

zania i z prawdziwą przyjemnością dzisiaj jeszcze wspominam sobie niektóre jego zwroty i potężne akcenty wymowy, pełne jakiejś nieodpartej siły i namaszczenia«.

VIII.

Praca misyjna X. de Jacobis w południowych Włoszech.

Misje ludowe, ten pierwszy i najgłówniejszy obowiązek i zadanie każdego Misjonarza, nie mogły nie pociągać swym przemożnym urokiem wielkiego i ofiarnego serca X. de Jacobis i energicznego umysłu. Z radością więc, z miłością i zapałem oddał się tej wyczerpującej pracy misjonarskiej zaraz prawie po wyświęceniu na kapłana i pracował z takim rozmachem, że nikt i ze starszych doświadczonych księży nie mógł mu sprostać. — Nie odstraszały go ni zniechęcały ofiary i umartwienia nieustanne, związane ze spełnianiem posług duchownych, ani wreszcie zmęczenie i inne dolegliwości, na które ciągle bywał narażony, jeżdżąc od wioski do wioski, od miasta do miasta. Wszystkie swe duchowe i fizyczne siły wkładał w ewangelizację, nie zapominając równocześnie i o modlitwie gorącej do Boga o pomnożenie i wzrost tych złotych ziarenek Słowa Bożego w duszach ludzkich, które w nich słowem i przykładem siali jego towarzysze i on sam.

Ach! bo i do czegoż może być niezdolne, czegoż to nie potrafi kapłańskie, pełne bożej miłości serce!

Biografowie X. de Jacobis opowiadają nam o licznych, cudownych wprost skutkach i owocach jego kazań misyjnych i przemówień. »Nie mogliśmy się napatrzeć i nadziwić tym przeogromnym przemianom na dobre, w duszach słuchaczy X. de Jacobis. Tak dziwnie jakoś umiał przemawiać, że po każdej jego nauce dziesiątki całe, setki całe osób nawracały się, otwierały swe, twarde

dotąd, jak głaz, serce na działanie łaski. Ustawały nienawiści i publiczne zgorszenia, oraz inne grzechy, ustępując łasce i cnocie. Często zdarzało się po jego kazaniu widzieć starych już, osiwiałych w nieprawości grzeszników, jak publicznie zalewali się szczeremi łzami pokuty i żalu. Nierzadko także słyszano różne osoby złego prowadzenia i gorszące całą gminę, jak podczas kazań X. de Jacobis zalane łzami, głośno wobec wszystkich oskarżały się ze swych przewinień, błagając wszystkich obecnych i Boga o przebaczenie. Zdarzało się także, że zagniewane na śmierć od niepamiętnych już lat rodziny, podczas kazania X. de Jacobis zbliżały się do siebie z wyciągniętemi rękami i przebaczały wzajemne urazy. Dziwny był ten X. de Jacobis. Sama nawet jego obecność tak jakoś dziwnie działała na zebrane tłumy wiernych. Za każdym razem, jak tylko przemawiał, słyszało się wśród zasłuchanego ludu stłumione łkania, szlochy i westchnienia ciche, które trwały przez całe kazanie.

Mons. Bianchi, arcybiskup z Trani, który raz tylko słyszał, jak przemawiał, nie mógł się nadziwić jego technice kaznodziejskiej, dykcji i natchnieniu, któremi sobie podbijał niesfornych czasem słuchaczy. »Skoro z ust X. de Jacobis padły z mocą i słodyczą wypowiedziane słowa: »Pójdźcie do mnie dziatki, posłuchajcie głosu mego, chcę was nauczyć bojaźni Pańskiej« (Ps. XXXIII, 12); cały ogromny tłum zakołysał się, skupił i zmartwiał prawie w uwadze, zawisnąwszy spojrzeniem na twarzy, na wargach kaznodziei. Poprzedni szum i pokaszliwanie ucichło naraz, jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszyscy stali jak urzeczeni, czy też zahipnotyzowani, a kaznodzieja mówił i wzruszał, podbijał serca, by je później złożyć w ofierze Zbawcy«.

Podobnie i arcybiskup Spaccapietra, kolega szkolny X de Jacobis opowiada nam, w pełnych entuzjazmu słowach o kazaniach swego kolegi, twierdząc zarazem, że nietylko jego kazania były porywające, ale nawet i do-

rywcze, nieprzygotowane przemówienia pełne były jakiegoś dziwnego namaszczenia i kruszącej serca mocy, że słuchacze bywali wprost oczarowani i rozrzewnieni aż do łez. Każde jego słowo pełne było przekonywującej siły i padało w serca i umysły słuchaczy jak niebiańskie, słoneczne promienie, grzejąc je i oświecając do głębi. Często można było słyszeć, jak nawet ludzie niewierzący i zdala od Kościoła żyjący, poszedłszy z ciekawości na jego kazanie, mówili potem: »tego księdza to warto posłuchać, przemawia tak, że wprost musi się wierzyć w to, czego naucza«.

Podobnie pisze o X. de Jacobis wnikliwy jego biograf Mons. D'Agostino w swojem o nim dziele: »Takiego mając duszołowcę, mieli XX. Misjonarze zawsze pełne niewody dusz. Połowy apostolskie na dusze grzeszników zawsze były obfite. X. de Jacobis umiał bowiem jak nikt inny zarzucać tajemnicze sieci miłosierdzia Bożego, przez swoje kazania misyjne, a skoro wyczuł, że sieć już pełna ujętych w słodkie jarzmo łaski dusz, zaczął te dusze ciągnąć teraz do Boga przez Sakrament Pokuty i Ołtarza. Łaska Boża była z nim, więc też i poczynania jego były niezwykłe. Co dnia podbijał w niewolę miłości Bożej pokaźne zastępy błądzących dotychczas dusz. Pracował też nasz bohater, jak rzadko kto. Od samego rana, w czasie gdy był wolny od kazania, zasiadał w konfesjonale, który oblegali ludzie wszystkich stanów i wieku, i siedział tak spowiadając aż do późna w noc, czasem nawet bez posiłku. Wszyscy jego współbracia i współmisjonarze nie mogli się nadziwić jego ofiarnej miłości, jego przenikliwej mądrości i roztropności, jakie go cechowały przy słuchaniu spowiedzi i które sprawiały, że przyjmował grzeszników, a odsyłał od kratek słuchalnicy zmienionych do gruntu, prawie świętych ludzi. Ojcowskie jego słowa w konfesjonale rozpalały serca grzeszników, zmuszały słodko i łagodnie do opłakiwania grzechów i do postanowień dobrych, a on na drogę dawał im ten pokój,

którego świat dać nie może, a który się rodzi z ogromnej ufności do Boga z jednej strony, a nieufności w swoje siły z drugiej.

Nie brakowało także podczas tych misyj i różnych nadzwyczajnych zdarzeń i znaków, któremi niebo chciało jakby potwierdzić świętość swego wiernego sługi.

Podobno, jak świadczył lud, w wiosce Erchie, w diecezji Oria, widziano go, jak podczas kazania uniósł się ponad ambonę i przepłynął w powietrzu aż do głównego ołtarza, gdzie było Tabernakulum, potem znów w powietrzu wrócił na ambonę.

W jakiejś znowu wiosce w Abruzzach w podobny sposób miał przesunąć się w powietrzu do ołtarza Matki Boskiej.

Pewnego dnia, pod koniec misji w Squinzano, gdy X. de Jacobis odprawiał mszę św. w pewnej maleńkiej kapliczce, zrobił się tamże tak ogromny ścisk, że zagrażał wprost rozwaleniem ołtarza i podeptaniem celebransa, do czego byłoby zpewnością przyszło, gdyby nie natychmiastowa pomoc Boża. W krytycznej chwili, jak opowiadają naoczni świadkowie, ołtarz razem z celebransem przeniósł się cudownie gdzieś w bezpieczne miejsce.

Współcześni jego nie mogli się zwłaszcza nadziwić tym niezliczonym wprost łaskom uzdrowienia i nawrócenia, jakie działał za pośrednictwem Cudownego Medalika.

Z późniejszych lat jego życia opowiadają, że pewnego razu, jak już był apostołem i biskupem w Abisynji, objawił się w nocy pewnej chorej osobie i pocieszył ją nadzieją rychłego powrotu do zdrowia. Tej samej nocy pokazał się także we śnie pewnemu zatwardziałemu grzesznikowi nazwiskiem Dominikowi Enriko i w pełnych ojcowskiej surowości słowach groził mu karą Bożą, jeżeliby nie chciał zacząć pokutować za swoje grzechy.

Podobno miał uzdrowić niejakiego Marjana Siciliano z ciężkiej kolki przez położenie swej ręki na bolące

miejsce. W Neapolu miał także uzdrowić młodego kleryka z jakiejś dolegliwości sercowej przez położenie swej dłoni na piersiach chorego. Opowiadają także, że w Oria przywołał do życia pewnego człowieka, który zmarł bez Sakramentów św.

W Monterono miał podobno uleczyć jakiegoś opętanego i przywrócić zdrowie Angelinie Pino, biednej i opuszczonej przez lekarzy kobiecie, do której gdy go zawołano, by ją wyspowiadał, miał podobno rzec: »Dzisiaj jeszcze otrzymasz błogosławieństwo Jezusa, którego poniosą w procesji... i wyzdrowiejesz, a jutro pójdziesz do kościoła i przyjmiesz Komunję św. jako dziękczynienie za odzyskane zdrowie«. Tak się też stało!

W tej samej wiosce niejaka Angela Pati, młoda i rwąca się do życia dziewczyna, ale niestety strasznie podupadła na zdrowiu, została również niespodziewanie uleczona przez X. de Jacobis, który się miał jej w nocy objawić i błogosławić swą kapłańską ręką.

Te i wiele innych cudownych wprost zdarzeń uzdrowień i nawróceń, które za jego pośrednictwem podobało się Bogu działać, były najlepszem udowodnieniem tej prawdy, którą on głosił ludowi w kazaniach, nic też dziwnego, że prawie każdem swojem słowem pociągał dusze do Boga.

IX.
Pobyt w Neapolu.

1. Pobyt w domu św. Mikołaja z Tolentynu.

Dnia 14 maja 1836 na polecenie przełożonych opuścił X. de Jacobis Leccę i udał się do Neapolu. Lecce opuszczał nocą, obawiał się bowiem i słusznie, że kochająca go ludność miasteczka urządzi z powodu jego odjazdu demonstrację i nie puści go od siebie. W Neapolu zaraz po przybyciu obarczono go bardzo odpowiedzialnym urzędem

dyrektora Seminarjum, które wtedy znajdowało się w domu pod wezwaniem św. Mikołaja z Tolentynu, przy ulicy Wiktora Emanuela. Stary ten dom, który obecnie zamieszkiwali XX. Misjonarze, należał dawniej do zakonu OO. Augustjanów, potem przez jakiś czas mieszkali w nim Kartuzi od św. Marcina, którzy zaprowadzili na otaczających, szerokich wzgórzach przepyszne ogrody, leżące poza samym domem. Okolica, w której był położony dom, należała i należy do największych, jeżeli dopuszczalne jest stopniowanie, w przepysznem położeniu całego Neapolu. Dom stał zbudowany na pewnej wyniosłości gruntu, niby na górze. Z okien jego rozprzestrzeniał się wspaniały i szeroki widok na całą przecudowną zatokę neapolitańską, aż na oba najdalej wysunięte krańce zatoki, aż na rozsiane po morzu historyczne wyspy, aż po przylądek Posillipo. W którąkolwiek stronę zwróciło się zachwycone oczy, wszędzie bieliły się marmury will i zieleniły ogrody, przeglądające się w krysztale czystych wód zatoki a odbijające ciemną zielenią od słoneczno-lazurowego nieba. Wszystko dokoła zdało się być przewspaniałym lasem, taka była obfitość i bogactwo zieleni. Cały ten czar i piękno natury przykuwały mimowoli oko widza, że nie sposób było się oderwać. Patrząc na wymarzone piękno tej przecudnej zatoki, zdało się sercu i oczom, że to raj na ziemi, że Bóg uśmiecha się do tego zakątka świata. I zaprawdę zdawało się naonczas uśmiechać niebo nad całą zatoką neapolitańską, a zwłaszcza nad domem XX. Misjonarzy — a uśmiechało się za pośrednictwem Niepokalanej Marji, której, z białego karraryjskiego marmuru wykuta statua, stała w kościele pod wezwaniem św. Mikołaja z Tolentynu. — Była to figura Matki Boskiej wykonana po mistrzowsku przez jakiegoś nieznanego, ale prawdziwego artystę. — Stoi ona dziś w bocznej kaplicy w artystycznie imitowanej massabielskiej grocie. Na ścianach kaplicy poumieszczano krótkie napisy, streszczające wydarzenia w Lourdes. Prócz tego pełno tam jeszcze

najróżnorodniejszych wot, które tu znosił cały Neapol, jako wyraz wdzięczności za niezliczone łaski i dobrodziejstwa świadczone przez Lurdeńską Madonnę, która stamtąd na wszystkich wielkich i małych rozlewała przeobfite zdroje swych łask i dobrodziejstw niebieskich. — Do stóp tej małej Madonny przychodził także i nasz czcigodny dyrektor X. de Jacobis i tu przed swą Niepokalaną, niebieską Matuchną, otwierał swe miłujące serce, skarżył się Jej w trudnościach i kłopotach, radził w wątpliwościach. Jak często tam uczęszczał, nikt nie policzy. Wychowując powierzone sobie młode pokolenie misjonarskie, o jednem przedewszystkiem pamiętał, a mianowicie o zaszczepieniu w te młode dusze prawdziwego i głębokiego nabożeństwa do Marji, wiedział bowiem, że ono właśnie jest fundamentem wyższej doskonałości. Nie przychodziło mu też trudno rozpalić w tych młodych już samorzutnie rwących się do miłości Marji sercach młodych lewitów, tego płomienia, który gorzał w jego własnem sercu. Praca była tem łatwiejsza, że ci ostatni mieli żywy przykład nabożeństwa i miłości dla Madonny w swoim dyrektorze, który nietylko sam głęboko wierzył w opiekę i pośrednictwo Marji, lecz wszystkich, z którymi się stykał, chciał tąż samą natchnąć ufnością wiary, a przedewszystkiem swych duchownych wychowanków. Że zaś ta głęboka wiara w pośrednictwo Marji nie malała z latami ale rosła, świadczą choćby następujące słowa wyjęte z jego listu do pani d'Antoglietta, jego dawnej penitentki, które są jakby streszczeniem całej jego marjologji: »Niech czcigodna pani zawsze pamięta, że wszystko, co nam Bóg daje, otrzymujemy tylko przez ręce Marji, zaufaj więc pani Madonnie«.

W tym samym prawie czasie przyszła do Włoch cholera, przywleczona z Azji, która zaczęła się w tak przerażająco szybki sposób szerzyć, że ludzie potracili głowy. Okropnie panoszyła się zwłaszcza w Neapolu, gdzie liczba zmarłych dochodziła rekordowej wprost wysokości

700 i 800 dziennie. Zdało się, że nadszedł sądny dzień. Okropne, rozdzierające, dantejskie sceny działy się zwłaszcza po przedmieściach, gdzie mieszkała uboższa ludność, wśród której okropność położenia powiększały jeszcze, strach przed zarażeniem, głód i straszne rozbestwienie niektórych jednostek. Wśród tego ogólnego zamieszania i przerażenia nie tracili głowy jedynie lekarze i kler świecki łącznie z zakonnym, którzy prześcigali się dosłownie w heroicznem zaparciu siebie. Z kleru jednymi z pierwszych byli dwaj nasi znajomi i koledzy nierozłączni, X. de Jacobis i X. Spaccapietra. Codziennie rano i wieczór udawali się na miasto i odwiedzali ubogie mieszkania robotników i rzemieślników, gdzie leżeli chorzy, potem udawali się do więzień, do przepełnionych szpitali, pomagając lekarzom i pielęgniarkom w leczeniu, a przedewszystkiem spowiadając i przygotowując na śmierć zarażonych. Nie rzadko także musieli i w grabarzy się zabawić, bo nie było komu pogrześć tych setek trupów. Wracając późno do siebie, dziękowali gorąco Bogu, że mogli dla Jego chwały praktykować wszystkie rodzaje uczynków miłosierdzia chrześcjańskiego.

Epidemja ta rozpoczęła się 2 października 1836 r. i trwała aż do sierpnia następnego roku. Przez cały ten czas nieubłagana śmierć zgładziła w samym tylko Neapolu 36 tysięcy żywotów ludzkich.

2. X. de Jacobis superjorem domu pod wezwaniem Matki Boskiej.

Wkrótce po owych wypadkach w Neapolu został nasz bohater przeniesiony za wolą przełożonych z domu św. Mikołaja, do domu pod wezwaniem Matki Boskiej również w Neapolu, gdzie został superjorem. Miał wtedy lat 37.

Dom ten, do którego przeniósł się nasz bohater, jest jednym z najpiękniejszych i najpoważniejszych domów włoskiej prowincji XX. Misjonarzy. Zbudowany jest wspa-

niale. Korytarze posiada długie i szerokie, wyłożone czarnym marmurem. Kościół obok, jest szczytem architektury. Stare te mury wielką mają tradycję. Tu żyli jedni z największych i najświętszych Misjonarzy prowincji włoskiej. Ale nietylko synowie św. Wincentego szukali tu pokoju i ciszy dla ducha, po ciężkiej orce na ugorach ludzkich dusz, ale setki całe świeckich kapłanów zjeżdżało się i zjeżdża tu co roku, by na rekolekcjach odnowić się duchowo i nabrać mocy do dalszych prac i walk. Zwłaszcza w czasie odpustów i niektórych uroczystości kościelnych, wszystkie jego szerokie korytarze i ogromne podwórza aż się roiły, tylu bywało w nim dostojnych gości z Neapolu i prowincji. Czcigodne te mury są więc owiane jakąś szczególniejszą atmosferą powagi i dostojności i zdają się jeszcze dziś szeptać przygodnemu gościowi o dawnych świętych, innych czasach, kiedy to w nich bawił wielki Doktor Kościoła św. Alfons Ligouri, jako młody adwokat. Tu w tych murach znalazł on Boga. Tu nastąpiła jego ostatnia decyzja zerwania ze światem i pójścia za Chrystusem z miłości do Boga i Madonny. Tutaj to umieściła Opatrzność i naszego bohatera X. de Jacobis, zanim jako prefekt apostolski nie udał się do Abisynji. Wśród tej atmosfery świętości i ciszy niebiańskiej przepędził on ostatni rok swego błogiego i tak obfitego w owoce życia na rodzinnej włoskiej ziemi. Całe to jego życie podczas pobytu w Neapolu było jednym wzniosłym przykładem pracy i poświęcenia bez granic. Czy to jako zwykły misjonarz w pierwszych latach swej działalności, czy później jako dyrektor seminarjum i superjor, zawsze był najlepszym wzorem obowiązkowości, posłuszeństwa, regularności, a przedewszystkiem samozaparcia, miłości i ofiary.

X.

Cudowne drogi Opatrzności.

Wiemy już z poprzednich rozdziałów, że apostolski zapał X. de Jacobis zawsze był żywy i progresywny, nie jest więc rzeczą niemożliwą, że już dawniej zrodziło się w jego duszy gorące pragnienie poświęcenia się misjom zagranicznym, zwłaszcza, że w chwili. kiedy się owo pragnienie na zewnątrz objawiło u niego, było już tak skrystalizowane, jakby już całe lata nosił je w swej gorącej duszy. Było to pragnienie, do zrealizowania którego wszystkie by najdrobniejsze obmyślał środki. Z pewnością więc nosił je nasz bohater już od pierwszych lat wstąpienia do XX. Misjonarzy. Teraz tylko pozostawało mu wykonać to dawne zamierzenie, zwłaszcza, że czas był po temu. Ze zwykłą więc swoją energją i pośpiechem zabrał się teraz do pracy. Napisał list do generalnego przełożonego XX. Misjonarzy z prośbą o pozwolenie poświęcenia się pracy na misjach zagranicznych. Dziwnym, a raczej opatrznościowym zbiegiem okoliczności w tymże samym czasie otrzymał generalny przełożony z Rzymu list, proponujący Zgromadzeniu XX. Misjonarzy objęcie pewnej katolickiej misji w Etjopji. List ten pisał w imieniu Ojca św. kardynał Franzoni, prefekt Propagandy, który nawiasem mówiąc, kilka tygodni przed napisaniem tego listu do Paryża, z propozycją objęcia tej etjopskiej misji, bawił w gościnie u X. de Jacobis w Neapolu i wtedy już proponował X. de Jacobis wyjazd na tę misję. X. de Jacobis był gotów, zależało tylko od decyzji generalnego przełożonego w Paryżu. Kardynał Franzoni i X. de Jacobis umieli więc jak widzimy działać szybko i roztropnie, aczkolwiek niczem nie uprzedzając opatrzności Bożej. Generalny przełożony XX. Misjonarzy, wnet odpowiedział na oba listy przychylnie, zgadzając się na wyjazd X. de Jacobis i na propozycję Propagandy. Nadeszła wreszcie upragniona chwila. X. de Jacobis zaczął się gotować do

tej wielkiej misyjnej wycieczki. Dla Etjopji wybiła wreszcie godzina łaski, miłosierdzia i zbawienia.

Otrzymawszy wszystkie niezbędne pozwolenia i pozałatwiawszy wszystkie konieczne sprawy, X. de Jacobis opuścił Neapol dnia 4 lutego 1839 r., ku ogólnej żałości wszystkich, którzy go znali, lub bodaj słyszeli na ambonie. Zanim jednak na dobre wyruszył do Etjopji, odwiedził jeszcze i pomodlił się u grobu św. Wincentego i złożył zarazem uszanowanie synowskie Przełożonemu generalnemu XX. Misjonarzy. Prasa francuska z okazji jego pobytu w Paryżu poświęciła pełnemu poświęcenia misjonarzowi włoskiemu, udającemu się do dalekiej Etjopji kilka poważnych mów i okolicznościowych artykułów, a X. Etienne, wtedy jeszcze prokurator generalny XX. Misjonarzy, mógł napisać o nim jednemu z konfratrów: »W tych dniach gościł u nas X. de Jacobis z Neapolu, który przybył do Paryża, by się pożegnać z Generałem i św. Ojcem naszym. Jesteśmy wszyscy upojeni i oczarowani zapachem jego cnót, któremi jaśnieje i wielką wszyscy żywimy nadzieję, że dobry Bóg pobłogosławi Jego przedsięwzięciu«.

XI.

W drodze na misje.

Obdarzony błogosławieństwem Ojca św. Grzegorza XVI na drogę, w święto Matki Boskiej Wspomożycielki, dnia 24 maja 1839, wsiadł wreszcie nasz bohater na okręt i odpłynął w towarzystwie konfratra X. Ludwika Montuori i dwóch jeszcze innych, którzy się udawali na misje w Syrji.

Podróż odbywała się prawie bez przygód. Opowiadają, że gdy w czasie podróży zatrzymał się nasz X. de Jacobis na wyspie Malcie, zdarzyło się, że w czasie, gdy odprawiał mszę św. w kościele św. Jana, ukazało się na

ołtarzu Dzieciątko Jezus zaraz po konsekracji i można je tam było widzieć aż do Komunji kapłańskiej.

Dalsza podróż naszych misjonarzy była długa i okropnie męcząca. Dopiero po pięciu miesiącach morskich kołysań stanęli nasi misjonarze u celu podróży. Było to 13 października tegoż samego roku. Któż opisze, co się działo w duszy X. de Jacobis, gdy wreszcie stanął na ziemi, którą jego duchownej pieczy powierzała Opatrzność. Marzenia jego apostolskie i pragnienia największe spełniły się. Ale teraz czekała go praca, a do tego jaka ciężka. X. de Jacobis nigdy jednak nie miał zwyczaju tracić ducha i to jeszcze zawczasu. Jak podczas podróży na morzu, kiedy burza zdawała się zagrażać okrętowi, zwykł był uciekać się pod opiekę Niepokalanej, nucąc ku Jej czci: »Witaj Gwiazdo morza«, tak też i teraz zwrócił się do Madonny z gorącem najprzód »Magnificat« za szczęśliwą podróż, a potem ze łzami w oczach zaczął błagać Marję o wszystkie łaski, które są potrzebne misjonarzowi, począł prosić o miłosierdzie boże i oświecenie tych serc i dusz, nad któremi miał pracować. Najświętsza Dziewica wysłuchała gorących próśb swego wiernego syna i często później najwidoczniej pomagała mu w jego przedsięwzięciach, radziła w wątpliwościach i pocieszała w chwilach przygnębienia i smutku.

XII.

Etjopja — Abisynja.

Zdaje nam się, że konieczną jest rzeczą najogólniejsze choćby poznanie kraju, w którym pracował i umarł nasz bohater.

Cała Etjopja jest przedewszystkiem przedzielona i ograniczona od reszty świata wielkiem i burzliwem morzem z jednej strony, niedostępnemi skałami z drugiej, a z trzeciej wreszcie i czwartej zarazem, szerokiem pas-

mem piasków pustyni. Religją panującą tam niegdyś była religja żydowska. Później za czasów królowej Kandaki próbował nawracać Etjopczyków na chrześcijanizm pewien oficer z jej armji i niejaki św. Santenus, lecz skutek tych ich nawracań był bardzo mały.

Ale już około IV wieku św. Frumencjuszowi, patrjarsze aleksandryjskiemu powiodło się stokroć lepiej. Na skutek bowiem jego nauk nawrócił się sam król Etjopji i przyjął z rąk Patrjarchy chrzest w stolicy Etjopji Axum, które jest do dzisiaj stolicą metropolity abisyńskiego, który się z abisyńska zwie »Abuną«. Za przykładem króla poszedł wnet cały kraj i przyjął z rąk patrjarchy katolicyzm, ale bez głębszego przekonania, toteż wnet znowu odpadł od prawdziwej nauki katolickiej i popadł w herezję eutychjańską, która utrzymywała, że w Chrystusie niema, nie istnieją dwie natury, boska i ludzka, lecz tylko jedna jedyna. Wkrótce w całej Etjopji narodziło się dziesiątki całe najdziwaczniejszych sekt i najróżnorodniejszych kultów. W wieku XVI i XVII zajęli się Etjopją OO. Jezuici, pragnąc całą swą duszą odzyskać Kościołowi i Chrystusowi tę utraconą krainę, ale jakoś dziwnie nie mieli szczęścia. Owoce ich misjonarskich prac niedługo trwały.

W chwili kiedy na tej ziemi stanął nasz bohater, nie było tam już ani śladu misjonarskich poczynań OO. Jezuitów, albowiem już od dwustu lat opuścili tę misję, zniechęciwszy się brakiem powodzenia w pracy ewangelizacyjnej. Tak więc stało się, że wszyscy stracili nadzieję i uznali tę krainę za niedojrzałą jeszcze do ewangelicznego żniwa, zaniechawszy wszelkich prób pozyskania jej dla kościoła. Opatrzność jednak czuwała. Ona to przeznaczyła X. de Jacobis na tę opuszczoną placówkę i kazała wzmocnić walkę z herezją i świetnemi zwycięstwami okupić dawne porażki i brak odwagi tych, którzy się zniechęcili chwilowem niepowodzeniem. Cała Abisynja i niektóre z ościennych krain już od pierwszych

wieków chrześcijaństwa wyznawały i czciły Matkę Boską i do dziś jeszcze zachowały wśród siebie mimo wszystko ten przepiękny kult, zniekształcony coprawda przez herezję i różne pogańskie zabobony. Pewien misjonarz opowiada, że gdy raz jakiemuś młodemu Abisyńczykowi pokazano piękny obraz Niepokalanej przeznaczony dla króla abisyńskiego Ubie'go, młodzieniec nie mógł się powstrzymać od łez radości i całując misjonarza, który mu go pokazał, mówił, że za ten obraz Bożej Rodzicielki król Ubié nietylko że przyjmie Misjonarzy, ale jeszcze ukocha ich z całym swym ludem i obsypie łaskami.

Do takiego to kraju, między takich czcicieli Marji przybył nasz X. de Jacobis, on, który tak bardzo kochał swą niebieską Matkę, który wszystkiego się spodziewał od Boga za Jej pośrednictwem, Ta już sama okoliczność dobre powodzenie zdawała się wróżyć misji X. de Jacobis. Marja nie zawiodła też swego wiernego sługi. Przez cały okres jego apostolskich prac w Abisynji na każdym kroku wspierała jego fizyczne i duchowe siły.

XIII.
Pierwsze prace X. de Jacobis.

Cały rok 1840 po przybyciu do Abisynji poświęcił nasz bohater na przygotowanie się do tej ważnej misji nawrócenia krajowców. Był to dla niego jakby rok próby i nowicjatu apostolskiego. Cały ten czas podzielił między modlitwy i studjum trzech narzeczy abisyńskich, oraz historji i zwyczajów tamtejszych. Naturalnie nie było to już wszystko. Oprócz bowiem tego oddawał się, jak zwykle pracy na polu miłosierdzia chrześcijańskiego, przez co już wtedy zaczął sobie zjednywać serca Abisyńczyków.

Rok ten poświęcony przygotowaniu do apostolskiej pracy nie był stracony i z innego jeszcze względu. Oto podczas tego wolnego od czynnej misjonarskiej pracy

czasu, X. de Jacobis robił iście dyplomatyczno-strategiczne plany przyszłej, aktywnej działalności swojej i obmyślał środki, za pomocą których najkrótszą drogą mógłby dojść do pożądanych rezultatów w ewangelizacji Abisynji. Z tych wszystkich środków dwa przedewszystkiem uznawał nasz misjonarz za konieczne do nawrócenia tej krainy. Pierwszym z nich to było: usunięcie starych a bezpodstawnych przesądów i niechęci abisyńsko-eutychjańskich względem Rzymu i papiestwa, czego miał dokonać przez urządzenie wielkiej pielgrzymki do Rzymu i do Ojca św., wśród której to pielgrzymki mieli znajdować się najwybitniejsi Abisyńczycy. Drugim zaś środkiem miało być, naoczne pokazanie, pełnym uprzedzeń względem katolików Abisyńczykom, tych wszystkich zalet i cnót, które kwitną wśród tych pierwszych, podczas gdy ci drudzy pleśnieją, gnuśnieją w bezczynności i w błędzie. Były to naprawdę mistrzowskie środki i konieczne do realizacji tych wspaniałych zamysłów X. de Jacobis, które nawiasem mówiąc, pierwej czy później staną się faktami dokonanemi. Ale nasz bohater, nietylko był dobrym misjonarzem-strategikiem, ale i naśladowcą swego Mistrza Chrystusa i wielkiego apostoła narodów Pawła św., którzy raczej miłością zdobywali i zdobyli świat. Takie naśladując wzory X. de Jacobis jak św. Paweł stawać zaczął się wszystkiem dla wszystkich, aby wszystkich swych ukochanych Abisyńczyków przywieść do Jezusa. Z dnia na dzień coraz bardziej stawał się Abisyńczykiem — prócz błędów naturalnie — stawał się słabym ze słabymi, biednym z biednymi, pragnąc ich wszystkich przyprowadzić do Chrystusa i do Kościoła.

Wnet jednak nadszedł czas ciężkiej apostolskiej pracy nad tą tak strasznie zaopuszczoną winnicą Pańską. Pewnego dnia, gdy podczas zwykłych jego wycieczek w czasie odwiedzania ubogich i chorych, otoczył go liczniejszy niż zwykle tłum Abisyńczyków, podziwiając jego

samozaparcie i miłość, otworzył wreszcie usta i przemówił do nich w ich ojczystym narzeczu:

»Synowie Abisynji słuchajcie!

»Drzwiami serca są usta, a kluczem do tych drzwi serdecznych to słowo. Jeżeli dzisiaj otwieram me usta i mówię do was ukochane me dzieci, to tylko dlatego, żeby wam pokazać moje kochające was aż do szaleństwa serce!...

Jeszcze tam, w mojej słonecznej, dalekiej ojczyźnie pragnąłem, tak bardzo, aby was nauczyć prawdziwej nauki Chrystusa. Jeszcze tam daleko za morzami zaczęła się moja ogromna miłość do was i to moje pragnienie najpierwsze z pragnień moich wszystkich, aby was zobaczyć i okazać wam moje kochające serce i miłość moją ku wam. Rodzice moi i przyjaciele płacząc nie chcieli mi pozwolić na opuszczenie ojczyzny i udanie się tu do was wiedzieli bowiem, jaka to daleka droga i niebezpieczna i zdało im się, że mnie już więcej nie zobaczą i nie uściskają. Jednak miłość do was zwyciężyła! Zamknąwszy swe zroszone gorącemi łzami oczy, aby nie widzieć łez rodziców i przyjaciół, zamknąwszy swe uszy, aby nie słyszeć ich szlochów i zawodzeń bolesnych, otarłem dłonią ciekące po twarzy łzy, wsiadłem na okręt i przyjechałem do was. Wśród tysiąca najróżnorodniejszych niebezpieczeństw na morzu i wśród piasków pustyni wciąż powtarzałem w głębi serca tę moją najgorętszą modlitwę: Panie, daj mi jeno ujrzeć moich kochanych braci Abisyńczyków, a potem niech już umrę! I dobry Bóg wysłuchał mnie i oto jestem, o bracia moi ukochani, wśród was. Takim szczęśliwy! Teraz już spokojnie mógłbym umrzeć, jeśliby się tak Bogu podobało. Wszystkie dni życia mego wśród was dla was poświęcę, troszcząc się o wasze dobro. Co dnia modlić się będę za was, ucząc się zarazem waszego języka i żyć po waszemu. Dla was będę pracował i znosił z radością wszystkie przeciwności i niedostatki. Jeśli będziecie smutni, po-

cieszę was w Imię Jezusa Chrystusa, jeśli będziecie w nędzy, ja was wspomogę, jeśli będziecie nadzy, ja was okryję własnemi mojemi szatami, jeśli będziecie głodni, dam wam mój ostatni choćby kęs chleba, jeśli będziecie chorzy przyjdę was odwiedzić, pocieszyć was, dopomóc wam, wszystko, co tylko w mojej mocy, zrobię z radością ducha, byle tylko zapewnić was o mojej do was miłości. Na świecie nie mam nikogo, daleko w ojczyźnie zostawiłem przyjaciół, rodziców, wszystko, com kochał. Nie mam już nic, nikogo na ziemi prócz Boga i was, Abisyńczycy moi. Dla was tylko jedynie bije to serce, dla was tylko żyć pragnę. Jestem gotowy i zdecydowany uczynić wszystko, czego odemnie zażądacie, coby wam się podobało. Jeżeli będziecie chcieć, abym razem z wami mieszkał we wsi, chętnie zamieszkam, jeśli mnie zaś wypędzicie, to choć z żalem w sercu, pójdę się tułać. Jeśli zechcecie, abym prawił kazania, spowiadał i odprawiał mszę św. w naszych kościołach, chętnie to uczynię, jeśli zamkniecie przedemną drzwi, nie będę się oburzał. Jestem chrześcijaninem i kapłanem rzymsko-katolickim, kocham jednak i waszych kapłanów podobnie jak katolickich, więcej niż rodzinę moją, więcej niż przyjaciół moich, których opuściłem, aby być z wami. Dość długi już czas upłynął od chwili, kiedy przybyłem do was. Wy mnie już dobrze znacie. Wszak tyle razy już widzieliście mnie wśród siebie, tyle razy rozmawialiście ze mną. Zdaje mi się także, że przez cały ten czas nie dałem żadnemu z was złego przykładu, żadnego z was nie zgorszyłem. Tak! ale nie o to mi chodzi. Nie cieszę się z tego, żem nikogo z was nie zgorszył, ale przeciwnie, żal mi jeszcze bardzo, żem tak zamknięty w sobie żył dotąd i równie, jak nikogo nie zgorszyłem, tak też i nikomu z was nie okazałem nic dobrego. Od dzisiaj jednak zmieniam me postanowienie i chcę zostać waszym przyjacielem, a raczej waszym sługą. Jeśli będziecie w potrzebie, przyjdźcie do mnie, jeśli zdołacie, jeśli nie, to wołajcie na mnie, a z radością

przybędę, by wam dopomóc. Wszystkie me zajęcia poświęcę dla waszej wygody, dla waszego dobra. Przychodźcie tylko do mnie w każdy czas. Stanę się z radością wszystkim dla was, ukochani moi Abisyńczycy. Panie, który wszystko wiesz i słyszysz, w którego wszechobecności teraz się znajduję, Ty wiesz, że nie oszukuję ludu tego, Ty wiesz, żem go umiłował nad życie moje!«

Pierwsza ta mowa X. de Jacobis jest jakby programem późniejszej jego działalności, którego się potem trzymał wiernie aż do śmierci. Następne kazanie wygłosił w kilka dni później. Udawadniał w niem boskie pochodzenie i ustanowienie Kościoła katolickiego i prymatu papieża. W ten sposób przez modlitwę, przez ofiary, przez czyny miłosierdzia i przez przemowy zaczynał to ogromne dzieło nawrócenia Abisynji.

XIV.

Rozwój misji.

Jako prawdziwy naśladowca Jezusa Chrystusa X. de Jacobis na każdym prawie kroku, we wszystkich okolicznościach życia starał się odtwarzać na sobie ten boski pierwowzór cnót i postępowania, zostawiony nam przez Zbawiciela, a skreślony ręką Jego uczniów na kartach Ewangelji. Jeśli już jako młodzieniec, a później jako młody kapłan tak dalece zaczął się zbliżać do ewangelicznego pierwowzoru doskonałości, że podziw wzbudzał u przełożonych i u wszystkich, którzy go znali, to co dopiero za świątobliwe życie musiał prowadzić tam wśród tych Abisyńczyków, których i życiem swojem przykładnem chciał pociągnąć do Kościoła, do Jezusa. Jak bardzo to jego życie na tem dobrowolnem wygnaniu podobnem było, o ile to w mocy człowieka, do życia Zbawicielowego, można z tego chociażby wnioskować, że i on mógł się, jako i jego Boski Mistrz powołać na swój własny

przykład, jakeśmy to w poprzednim rozdziale słyszeli. Zresztą, jak Jezusowi, tak i jemu jako uczniowi nie oszczędzano najróżnorodniejszych przykrości i cierpień, które spotykały go przez całą resztę życia, którą przepędził wśród Abisyńczyków. Przykrości te często były tego rodzaju, że inny może misjonarz nie zniósłby ich spokojnie, nasz jednak bohater, zapatrzony w świetlany wzór Jezusa, ni razu nie uchylił się przed doświadczeniem, ni razu nawet nie poskarżył się Bogu czy ludziom, mimo, że te doświadczenia i przykrości często były bardzo bolesne i niesprawiedliwe.

Słyszeliśmy już, że w planie, jaki sobie X. de Jacobis ułożył w celu łatwiejszego zdobycia Abisyńczyków, była także wymieniona pielgrzymka do Rzymu. Otóż ta podróż, ta pielgrzymka stała się jednem z jego największych utrapień. X. de Jacobis pragnąc wreszcie zrealizować ten swój zamysł, udał się do władcy Abisynji, króla Ubié'go z prośbą o pozwolenie na odbycie tej pielgrzymki. Król, który bardzo cenił naszego misjonarza, wiele bowiem słyszał o jego świątobliwości i miłości do Abisyńczyków, chętnie zgodził się na tę propozycję, ale ze swej strony poprosił, a raczej polecił X. de Jacobis, aby przed tą rzymską pielgrzymką udał się wprzód z deputacją do Kairu do tamtejszego heretyckiego patrjarchy i poprosił tego w imieniu królewskiem o zamianowanie jakiegoś biskupa dla Abisynji. X. de Jacobis w trudnem znalazł się położeniu. Co za bolesna ironja! On kapłan, misjonarz katolicki, miał iść prosić heretyckiego patrjarchę o zamianowanie biskupa dla heretyckiego wyznania, z którem zamierzał walczyć.

(Dokończenie nastąpi).

X. PAWEŁ KURTYKA, C. M.

Z naszych misyj w Ameryce Północnej.

(Dokończenie).

Zresztą należy zwrócić uwagę, że prawie cała młodzież żeńska należy do Stowarzyszenia Dzieci Marji i wiernie co miesiąc uczęszcza do Sakramentów św. Oczywiście jest to także zasługa czcigodnego ks. proboszcza, który sam je prowadzi, naucza i naprawdę wiedzie do doskonałości. W wielkiem poszanowaniu tu w parafji są pierwsze piątki i pierwsze niedziele miesiąca, dziwić się przychodzi, jak sam ks. proboszcz bez asystenta może tej pracy podołać? Co jeszcze samo narzucało się na oczy, to ład i czystość w kościele. Nie jest to wielka katedra, ale mały, drewniany kościółek, który mógłby spokojnie stanąć we wiosce „starego kraju", wszędy jednak schludnie i miło. Misja, to było jedno wielkie święto w parafji. Codziennie piękne ornaty, kielichy, kościółek pięknie oświetlony, ołtarz przyozdobiony. Sam też ks. proboszcz wszędy był pierwszy, musieliśmy go prosić, by i nam coś do roboty zostawił. Istotnie prawie bez pomocy wyspowiadaliśmy całą parafję.

W drugim tygodniu mężczyźni i młodzieńcy dopisali również doskonale. Nie dali się zawstydzić niewiastom. Przychodziło wielu, pięknie się spowiadali, a już wieczorem kościół pełny był mężczyzn. W piątek znowu wieczorem dwa kazania, ja zostałem przy starszych, mój towarzysz rozprawiał się z kawalerami na sali w szkole. Mam wrażenie, że błogosławieństwo Boże nam towarzyszyło, zrobiło się wiele dobrego.

Na początku drugiego tygodnia odwiedziliśmy chorych, udzielili im Sakramentów św. i błogosławieństwa apostol-

skiego. Nie wielu ich było, bo i któżby chorował, skoro właśnie roboty w zimie idą tutaj najlepiej.

Poświęciliśmy wodę św. Wincentego, którą skrzętnie zabierano do domów. Cudowny Medalik cieszył się szczególniejszem wzięciem, brakło medalików, musiałem dać swoje, które noszę zwyczajnie ze sobą, by niemi dzieci uszczęśliwiać.

Jak misja to dla wszystkich. Wypadało więc wspomnieć i o umarłych. W sobotę ostatnią odprawiliśmy nabożeństwo za wszystkich zmarłych parafji. Modliliśmy się, by i im Pan Bóg udzielił cząstkę odpustów z racji misji św., zachęcaliśmy wiernych obecnych w kościele do modliw za nich i do wspierania ich wszelkiemi dobremi uczynkami. Myślę, że i dla nich była owocna ta misja św.

Ale jeszcze jedna grupa dusz potrzebowała misji, to małe „bejbiki", które jeszcze do szkoły nie chodzą. I te dziateczki mają duszę nieśmiertelną, nie można o nich zapominać. W ostatnią niedzielę po południu przyniosły je mamusie i tatusie do kościoła, było tężto w kościele muzyki! Ale Pan Jezus wystawiony na ołtarzu musiał się cieszyć, bo On kocha czyste duszyczki dziateczek i sam powiadał „takowych jest królestwo niebieskie". Za wzorem Boskiego Zbawiciela, który im błogosławił, i myśmy je błogosławili i prosili ich Oblubieńca, by niemi się opiekował przez całe ich życie. Nałożyliśmy wszystkim Cudowne Medaliki, by oddać je w opiekę Marji Niepokalanej.

Nawiasem możnaby dodać, że niektóre mamusie są bardzo niedbałe o polskość. Uczą dzieci tylko po angielsku, wychodząc z zasady, że w szkole nauczą się po polsku, a tymczasem po szkole z takiem dzieckiem straszna bieda. Bezsprzecznie muszą dzieci umieć po angielsku, ale nie można zaniedbać języka ojców i najlepiej uczyć dziecko jednego i drugiego języka równocześnie lub raczej wcześniej polskiego, bo z angielskim spotykać się będzie później ustawicznie, więc się sam wrośnie wszystkiemi porami duszy i ciała.

Były jednak i pewne niedogodności w czasie misyj. Obydwaj misjonarze zapadliśmy na dość silne zaziębienie

czy grypę, jak to kto chce nazwać. Mój towarzysz skarżył się nie wiele, więcej cierpiał. Kiedy było mu już znacznie lepiej, przyznał się, że już myślał telegram wysłać po zastępcę. Co do mnie to trzęsła mną febra porządnie, głowa mocno bolała, zdawało się, że trzeba na nią obręcz nałożyć, by nie pękła. Pan Bóg jednak czuwał nad nami najwidoczniej, bo te objawy chwytały nas zwłaszcza w nocy, za dnia od rana szliśmy do pracy. Parę razy byłem mocno zachrypnięty. Trudno było głos wydobyć, szedłem z kazaniem i jakoś wszystko się przedarło, można było je wygłosić spokojnie. Resztki jednak tej choroby wywieźliśmy do domu i tutaj, kiedy to piszę, wyzbyliśmy się jej zupełnie.

I druga była niedogodność. Opodal plebanji i kościoła znajduje się dworzec przetokowy węgla. Tu ściągają wagony ładowne w czarny djament, łączą je w pociągi i wysyłają. Stale pracuje tu kilka lokomotyw dzień i noc. Gdyby to spokojnie łączyły sobie wagony, ale gwizdają, ryczą, buczą, omal bez ustanku. Za dnia pół biedy, ale nocą jak tu spać! Oczy się kleją, zamykają, sen kołysze człowieka, a tu w sam raz rozlega się przeciągły ryk nie ludzki, nie zwierzęcy, nie naturalny; masz, sen uleciał bezpowrotnie. Ja się już jakoś przyzwyczaiłem, ale mój towarzysz wyspał się dopiero w domu, w Whitestone.

Ostatni maleńki zgrzyt to obrazeczki pamiątkowe misyj, rozdawane całej parafji. Zakradł się do drukarni psotnik hochlik i wydrukował, że misja odbyła się pod przewodnictwem Ojców Franciszkanów. Niestety nie możemy podszyć się pod tę szczytną nazwę. Kiedy chodzi o dobre strony, można je przypisać Ojcom Franciszkanom, ale jeżeli coś było ujemnego to należy do nas, niegodnych synów św. Wincentego a Paulo, Zgromadzenia Księży Misjonarzy. W ostatniej nauce przy poświęceniu Krzyża wytłumaczyłem to ludowi w kościele.

Piękna i rzewna uroczystość poświęcenia i adoracji Krzyża misyjnego zakończyła naszą pracę. Oby Bóg błogosławił jej i uwieńczył ją w obfite owoce tu na ziemi i w niebie!

Misja w parafji Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w New Bedford Mass.

od 22 lutego do 8 marca 1931 roku.

Kiedy wybieraliśmy się z X. Wójciakiem do Bedford na misję, prosiłem zgóry mego towarzysza, by dobrze przestudjował rozkład jazdy, wziął dokładny adres plebanji, bo ja pójdę za nim. Sam spamiętałem sobie tylko nazwisko miejscowości, ulicy i proboszcza. Wiedziałem, że w Providence, trzeba brać autobus, bo kolej nie dochodzi na miejsce. Nie liczyłem jednak, że te wiadomości będą mi potrzebne. Dnia 21 lutego o umówionej godzinie stanąłem z Brocklyna na Grand Central w New Jorku. Kupiłem bilet, rozglądam się, towarzysza niema. Siadam do pociągu, jego niema. Jadę, dojeżdżam do Providence, wysiada tłum ludzi, omal oczu nie wypatrzę, może wysiędzie z jakiego „smokera", niema. Może następnym pociągiem przyjedzie, czekam. Pociągi przychodzą, ludzie wysiadają, jego niema.

Ha! nie wiem, co się stało, zły jestem, może mi przyjdzie samemu jutro misję rozpoczynać. Znalazłem autobus do New Bedford, siadam, zajechałem szczęśliwie, plebanję znalazłem. Za pół godziny przybył i X. Wójciak uśmiechnięty z przygody. Okazało się, że kolejka dojazdowa z Whitestone zepsuła się, stąd jego opóźnienie. W Ameryce, choć tak wielka, niema obawy o zbłądzenie, byle jako tako się wygadać. Koleje są prywatne, konduktorzy obchodzą się bardzo grzecznie, bo im chodzi o pasażera, jak kupcowi w sklepie o klienta. Linie autobusowe również prywatne, stąd obsługa uprzejma, szuka podróżnych, pyta przechodniów, czy nie raczą skorzystać z ich obsługi. Dlatego też wystarczy słówkiem wspomnieć, dokąd się chce jechać, zaopiekują się człowiekiem jak dzieckiem. Wszystko to robi interes, jak tu nazywają „businesse".

X. proboszcz Baj przyjął nas bardzo mile, odrazu odczuliśmy serce przyjaciela dobrego i życzliwego. Przez cały czas misji czuliśmy się naprawdę jak w domu, tak że ta

misja należy do moich najmilszych w Ameryce. W kilku słowach wskazał nam na potrzeby swych owieczek i zachęcił do pracy w tym kierunku. Coś niecoś już słyszałem o tej parafji. Mówiono mi, że jest bardzo duża, ale w czasie misji roboty nie będzie wiele, bo mało kto przyjdzie do kościoła z powodu obojętności. Podobno niezależni czyli hodurowcy chcieli tu założyć swój zbór, przyjeżdżali, próbowali, ale im się nie udało. Miano im powiedzieć „mamy dość i aż za wiele rzymsko-katolickich, ich nam tu nie potrzeba, a cóż dopiero mielibyśmy nowy kościół zakładać“? Co do mnie po misji nie powiedziałbym, żeby tak źle tutaj było.

Pierwsi osadnicy polscy przybyli tu w r. 1897, trzy lata później było ich już około 500 dusz. W r. 1903 rozpoczął tu pracę duszpasterską X. Umiński. Później zmieniali się tu księża dość szybko. Ostatni X. proboszcz Baj pracuje tu już lat jedenaście, pomaga mu bardzo gorliwie X. Czerwonka. Za teraźniejszego X. proboszcza wraca do parafji spokój, pobożność i zaufanie do proboszcza. To ostatnie jest bardzo trudno odzyskać i trzeba jeszcze szereg lat pracy sumiennej, by naprawić dawne zgorszenia. X. proboszcz Baj stara się wszelkiemi sposobami okazać swym parafjanom najlepszą wolę. Nie kupuje nawet automobilu, choć każdy zamożniejszy parafjanin go posiada, by tylko nie drażnić nikogo i nie dać nawet najlżejszego pozoru do narzekania.

Nowym etapem na drodze odrodzenia będzie szkoła parafjalna, która działa już od czterech lat. Starych wielu już się nie da nawrócić, chyba na łożu śmierci, chodzi o młodzież, o nowe pokolenie. Wspaniały gmach szkolny zgromadza około 300 młodzieży, pod kierownictwem sześciu Sióstr Bernardynek. Od tych paru lat, jak szkoła istnieje, czuć już wiosnę w parafji, da Bóg przyjdzie lato rozkwitu, a dalsze pokolenia będą zbierać owoce. Szkoła w parafji, to wielkie przedsięwzięcie, bardzo kosztowne ze względu na budowę i utrzymanie, ale konieczne. Bez szkoły katolickiej, parafjalnej można powiedzieć, niema Kościoła katolickiego

w Ameryce, a całemu społeczeństwu grozi materjalizm, pogaństwo i bolszewizm.

Rodacy nasi pracują tutaj w tkalniach płótna. Trzeba pamiętać, że New Bedford obok Fall River należy w Stanach Zjednoczonych do największych ośrodków przemysłu tkackiego. Obecnie panuje silny zastój. Wielu jest bez pracy, a skutkiem tego bieda i nędza zagląda do wielu rodzin. Znaną jest powszechnie, a zwłaszcza tu w Ameryce ogrom nie popierana przez protestantów, episkopalnych itd. sprawa t. zw. kontroli urodzin. Jest to nic innego, jak dawno zwłaszcza we Francji praktykowany system jednego lub dwojga dzieci. Jedynym prawie ważkim tutaj argumentem jest brak utrzymania dla liczniejszej familji. Zdawałoby się, że dziś takie rodziny złożone z trzech, czterech osób są najszczęśliwsze i najzasobniejsze. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Pracy jest mało, toteż kiedy jej szuka sześcioro, ośmioro zawsze dwie, trzy osoby ją znajdują i tak bywa w licznych familjach. Niema zbytków ale zawsze dwoje, troje pracuje i wystarcza im zupełnie. Z małych rodzin szuka pracy jedno lub dwoje, jeżeli nie znajdą, nędza ostatnia, miasto musi im dawać zapomogę. Zgwałcone prawa natury muszą się zemścić.

Znajdują się podobno i takie jednostki, które nie chcą pracować wcale, by „krwawym swoim potem nie wzbogacać kapitalistów, burżujów". Oczywiście żyją one kosztem drugich, którzy pracują i ich muszą utrzymywać.

Prócz węzła kościelnego, Polacy tutejsi wiążą się jeszcze w liczne kluby, stowarzyszenia, korporacje itd. Niektóre z nich są nawet bardzo bogate. Taka „Polonja" n. p. warta jest przeszło 150 tysięcy dolarów. Związek jednak między niemi, a kościołem jest dość luźny. Obok Polaków mieszkają tu daleko od nich silniejsi i moralnie i liczebnie Francuzi, nadto dość licznych spotykamy Portugalczyków. Francuzi tutejsi są zupełnie inni aniżeli ich bracia w Europie. Wyemigrowali oni dawno z ojczyzny, jeszcze przed rewolucją i zachowali ducha nawskróś religijnego. Wielu z nich przeciska się do Stanów z Kanady, gdzie mieszkają

silną masą. Odznaczają się przykładną prawdziwą pobożnością, mają śliczne i duże kościoły, szkoły itd. Uderzającym u nich objawem są bardzo liczne rodziny, skutkiem tego przerastają szybko inne narodowości, a po wsiach i miasteczkach biorą rządy w ręce.

Kościół polski jest zbudowany z drzewa, ale wygląda bardzo miło i harmonijnie i z zewnątrz i wewnątrz. Obliczony jest na całą parafję, a o ile okazałby się za ciasny, można każdej chwili dobudować naokoło galerje bez zniekształcenia architektury. Dziś to jest zbyteczne, bo i tak kościół nigdy nie jest pełen, chyba raz lub dwa razy w roku. Plan naszej misji był zwyczajny. Codziennie suma z kazaniem o godzinie 9, popołudniu o godzinie 4 nauka dla dzieci, wieczorem nabożeństwo i kazanie o godzinie 7½. Od środy pierwsza msza św. o godzinie 5½. W kazaniach tłumaczyliśmy prawdy Boże jak najdostępniej dla słuchaczy, kładliśmy zwłaszcza nacisk na błędy i usterki miejscowe. Praca misjonarzy to praca jednak jednostronna, jak rolnika w polu, potrzeba jeszcze blogosławieństwa Bożego. Tego byliśmy także pewni, bo dla Niego pracowaliśmy. Chodziło jeszcze o to, jaka jest współpraca ludu, czyli jaka jest gleba, na którą rzucaliśmy ziarno?

Na każdej misji dochodzą nas słuchy, jak ludzie korzystają, czy są zadowoleni z Misjonarzy? I tutaj dały się słyszeć takie głosy. Jakaś osoba powiada: „misja nam się podoba, bo księża nie krzyczą na ludzi, ale łagodnie się z nami obchodzą“. Inny poważny obywatel mówi: „dziękuję bardzo Ojcom za misję, bardzo nam się podobała, bo Ojcowie nie wchodzili w politykę, partje, ale nas nawracali, od początku do końca“. Wyrazem zadowolenia ludu, a przedewszystkiem błogosławieństwa z nieba, była piękna liczba uczęszczających na misję.

Pierwszego dnia wieczorem przyszło niewiast, bo dla nich był pierwszy tydzień, nieco więcej niż pół kościoła. Smutno mówiło się do pustych ławek. Codziennie jednak słuchaczek przybywało, pod koniec tygodnia był prawie

pełny kościół. Mężczyzn w drugim tygodniu przychodziło blisko $^{3}/_{4}$ kościoła. Jak nam mówili księża miejscowi, którzy zawsze zbierali kolekty, wiele twarzy widzieli po raz pierwszy w kościele i gratulowali nam powodzenia. Co do mężczyzn wypada jeszcze zaznaczyć, że znacznie lepiej śpiewali od kobiet. Było to dziwne, bo zawsze ich głosy przepalone tytoniem, a często i wódką są gorsze od niewiast.

Przez obydwa tygodnie mieliśmy dosyć spowiedzi. Całe dwa tygodnie siedzieliśmy kamieniem w konfesjonale. W razie natłoku pomagali nam chętnie księża miejscowi. Mimo pewnej obojętności i intencyj mszalnych przyniesiono nam tyle, że choć skąpo, wystarczyło nam obu na całe dwa tygodnie, a nie spodziewaliśmy się ani jednej. I pamiątek misyjnych poszło wiele, poświęcaliśmy je codziennie po kazaniach.

Razu jednego wracam z kościoła przez podwórko do plebanji. Nagle zastępuje mi drogę dziewczynka może dziewięcioletnia i pyta:

„Proszę wielebnego Ojca, czy wielebny Ojciec ma wiarę, nadzieję i miłość"?

W pierwszej chwili nie mogłem się połapać. Myślę sobie, przechodziłem w życiu dość egzaminów, ale takiego nigdy. Mieć wiarę, nadzieję i miłość, to znaczy być bez grzechu ciężkiego, posiadać cnoty wlane boskie. Myślę sobie, spodziewam się, że jestem w łasce poświęcającej, ale o to nie może temu dziecku chodzić.

Dziewczynka pokazuje mi wtedy łańcuszek na szyji i powiada: taką wiarę, nadzieję i miłość, które się nosi na sobie na łańcuszku.

Zrozumiałem, ma to być krzyżyk, kotwica i serce.

„Idź, dziecko, powiadam jej, do sali pod kościołem, tam sprzedają taką wiarę, nadzieję i miłość, które się nosi na łańcuszku".

Myślę sobie, niech żyje prostota dziecięca. Choćby człowiek silił się cały dzień, toby takiego dowcipu nie wymyślił.

Jedyną rozrywkę, jaką mieliśmy w czasie całej misji, stanowiła wycieczka do Fall River, do X. Dylli. Przyjął nas bardzo gościnnie, nawet wystawnie. Podziwialiśmy bardzo gustowne obrazy, rzeźby, lichtarze, monstrancje itd., które świeżo przywiózł z podróży po Europie.

W ciągu trzech ostatnich dni misji, przyłączyło się jeszcze nabożeństwo czterdziestogodzinne. Tu w Ameryce obchodzi się je z wielką okazałością. Zwyczajnie w każdej parafji wszyscy wierni spowiadają się dwa razy na rok; to jest w czasie wielkanocnym i w czasie czterdziestki. Jest to bardzo piękny i cenny zwyczaj. Wiernych zachęcaliśmy, by korzystali z tego nabożeństwa i żeby nawiedzali P. Jezusa w Najśw. Sakramencie. Istotnie przez cały dzień byli ludzie w kościele i modlili się nabożnie. Nadzwyczajnie podobała mi się adoracja dzieci. W prezbiterjum stale klęczało kilku ministrantów ubranych w czerwone sutanny, tiulowe komże. Zmieniali się co pół godziny. Przy balaskach klęczały stale na zmianę Dzieci Marji starsze. Na kościele, w ławkach przez cały dzień, co godzinę zmieniały się dzieci szkolne klasami pod nadzorem Sióstr nauczycielek. Dzieci odmawiały głośno koronkę lub śpiewały badzo ładnie pieśni. Pomyślałem sobie, co to może zrobić szkoła parafjalna? W Polsce natomiast nauczycielstwo walczy o niedzielę nawet, bo nie chce dzieci prowadzić do kościoła.

Dobry skutek misji zależy często i od pogody. Nam dopisywała wyśmienicie, dopiero w ostatnich dniach zepsuła się na dobre. Wprawdzie u nas nie było tego, co niedaleko stosunkowo w Bostonie. Tam morze wystąpiło z brzegów i zalało przedmieścia i okolicę. Tłumaczono to wpływem księżyca i silną burzą, która wodę z pełnego morza w czasie przypływu napędziła do brzegu. Zdarza się to podobno raz na kilkadziesiąt lat. W New Bedford sypał śnieg nadzwyczaj obficie. Za noc i dzień nasypało go na jakie 30—40 cm., chociaż tajał równocześnie. Na ulicy panował silny ruch, bo musiano śnieg odrzucać od domów, nie tyle dla porządku, bo oto tu nie dbają, ale by się dostać lub

wyjść z domów. O estetykę, o porządek, a nawet o higjenę nie wiele się tu troszczą, bo to nie „businesse". Tu za pięć centów kolejką miejską, tramwajem, zajedzie się dziesiątki kilometrów, ale że śmieci wiszą we worku lub leżą na ulicy cały dzień, to nikogo nie wzrusza.

Ale wracajmy do misji, dobiegała końca. W ostatnią niedzielę spodziewaliśmy się natłoku. Patrzę rano przez okno na świat Boży, deszcz leje, wichura aż dom się chwieje, śnieg taje gwałtownie, plucha straszna. Na mszach św. było jednak dość ludzi. Na sumie odprawiliśmy procesję. Brały w niej udział Dzieci Marji w bieli. Kiedy czytałem akt ofiarowania parafji Najśw. Marji Pannie, widziałem, że wiele osób płakało.

Popołudniu zawierucha jeszcze się wzmogła. Widocznie szatan się złościł, że wiele dusz wyrwaliśmy z jego paszczy. Zbliżał się czas ostatniego nabożeństwa. Błyskawice rozświetlały miasto, rozlegały się silne grzmoty, a z nieba już nie deszcz, ale lał cały potop. Myślę sobie, nie będzie nikogo w kościele. Sam bym na ich miejscu nie przyszedł, więc i do nikogo nie miałbym żalu, gdyby kościół był pusty. Niemożliwość była widoczna. O oznaczonej godzinie idę do zakrystji, patrzę z lękiem na kościół, kościół nabity. Jak ci ludzie przyszli, nie wiem. Nieszpory odprawił gość X. prob. Dylla, X. Wójciak poświęcił krzyż misyjny, ja powiedziałem ostatnie słowo Boże. Adoracja krzyża skończyła się dopiero koło 10 godziny wieczorem.

Pod koniec nabożeństwa i niebo się wypogodziło. Ludzie wracali do domów już przy świetle gwiazd, a myśmy dziękowali Bogu za widoczne błogosławieństwo i za to dobre, którego pozwolił nam dokonać.



Instalacja św. Wincentego na proboszcza w Clichy.

Do Chin.

Burza na morzu.

Opuszczamy Shanghaj i stajemy przed zamkniętą bramą przystani. Z za kraty ktoś żąda od nas przepustki. Nie pomaga oświadczenie, że urzędnicy okrętowi zostawili u siebie pokwitowanie cłowe. Wie dobrze nasz prokurator, jakie „świadectwo" otwiera



Siostra Miłosierdzia (chinka) ze swymi kucharzami na przedmieściu Saigonu.

drogę, nie chce jednak przyczyniać się do łapownictwa i stanowczo żąda otwarcia gratis. Po paru minutach sprzeczki groźba zaskarżenia wywiera skutek i nasze walizki ponownie wypełniają kabinę. Malutki japoński statek „Tientsin Maru", 3000 tonn, ma stanąć w Tientsinie po trzech dniach. Czyściutka, w doskonałym stanie utrzymana szalupka bardzo uprzejmie traktuje pasażerów i troszczy się o ich wygody i upodobania. Cóż, kiedy kucharz chińczyk ma dopiero przyzwyczajać swoje ofiary do nieznanych potraw, z któremi oswaja się podniebienie dopiero w trzecim

dniu. Zawijamy do Tsingdao. Tak się wraziła w pamięć ta nazwa jeszcze z czasów wojny rosyjsko-japońskiej, że śpieszymy do miasta w celu wykrycia niemieckiej gospodarki. Istotnie, kamienice przypominają budowle westfalskie, gdzieniegdzie słyszy się poprawną niemczyznę. Po niemcach gospodarzyli tu japończycy, od 10 lat chińczycy są wyłącznymi właścicielami portu. Szyldy i ogłoszenia w języku chińskim i angielskim. Po angielsku rozmawia również i rodzina niemieckiego kupca, którego rozruchy i wojny nie zdołały wytrącić z intratnego stanowiska w Tsingdao.

Ponieważ znacznie się oziębiło, wydobywamy cieplejsze ubranie. Dmie i huczy na masztach silny przeciwny wiatr. Morze po-



Nasi Misjonarze w Saigonie.

ciemniało i zmarszczkami przykryło swe brudne głębie. Gdzie tylko wpada rzeka chińska, tam morze na dalekie kilometry od brzegu przybiera od lessowych domieszek brudną i ciężką barwę.

Uprzedzony radjodepeszą meteorologicznej stacji z Zi-Ka-Wej o zbliżeniu się tajfunu, statek nasz zmienia kierunek w poszukiwaniu bezpiecznego schroniska. Spienione bałwany rosną. Zamieć śnieżna wyludniła pokład. Dziki taniec okrętu wpędza wszystkich do łóżka z obawy przed morską chorobą. Z powierzchni morza unoszą się obłoki pary, a wściekły wicher kłębi je, rozrywa, spłaszcza, to znów porywa i unosi białemi wstęgami ku niebu.

Zapadła noc. Umocowujemy pakunki, zbieramy wszystkie drobiazgi toaletowe z półek do bezpiecznego kąta. Wyobraźnia przenosi nas do rybackich łodzi, zaskoczonych na pełnem morzu...

Niejedna już nie powróci do brzegu, niejedna rodzina nie doczeka się ojca rybaka...

Nad ranem zarzucono kotwicę w małej zatoce, otoczonej z dwu stron łamaną linją wzgórz bezludnej wysepki. Kilka rybackich łodzi schroniło się tuż przy brzegu. Zaśnieżone wybrzeże tylko chwilami dostrzegamy poprzez zasłony mgieł. Wicher idzie falami. To pędzi on na nas zwarte masy zawieszonych na wzgórzach chmur, to na chwilę zamiera, odkrywając horyzont, to znów rwie w szmaty ciężkie, szare zasłony.

Dwie doby stał okręt w zatoce. Balansował on i tutaj i kilkakrotnie ustawiał się w innym kierunku, przerzucając kotwice pod wiatr. Huśtawka jednak nie była zbyt przykrą i kilka osób gromadziło się przy wspólnym stole.

Na trzeci dzień na tyle już uśmierzyły się żywioły, żeśmy mogli z pokładu przyglądać się wyścigowi potężnych bałwanów, rozhukanych dotąd w oddali. Woda paruje dotychczas, lecz mgiełki pary zlekka muskają w pobliżu wysepki pierś morza w jego przyśpieszonym oddechu i tylko miejscami tworzą one wiry i wianki tańczących duchów, gdy je tu lub ówdzie pochwyci ostatniem drgnieniem konający tajfun.

Poprzez lodową skorupę.

Śnieżyca ustała, zimno trwa nadal. Pod wieczór (11 stycznia) do miarowego tętna maszyny okrętowej dołącza się miękki chrzęst pękającej miękkiej skorupy lodowej. W nocy obudził nas zgrzyt i tarcie o boki parostatku. Zaledwie kilka kilometrów zostało nam do przebycia, ale gruba powłoka lodu nie ustępuje nacierającej na nią szalupie. Cofamy się, bierzemy rozpęd, ponownie wpija się nos okrętu w lodowy pancerz zatoki Peczili, wszakże tryska zaledwie kilka drobnych przejrzystych odłamków i posuwamy się za każdem natarciem tylko o parę cali.

Najwyżej kilkaset metrów przebyliśmy przez całą noc, aż wreszcie dotarliśmy do wolnych torów, gdzie portowe łamacze lodu zdążyły już pokruszyć lodową skorupę. Nie dojechaliśmy jeszcze do samego Tientsinu; przyjął nas jego forpoczt, Tangkou, gdzieśmy drżeli z zimna na dworcu, przez kilka godzin czekając na pociąg.

Tientsin przyjął jednego z nas w gorączce, drugiego z ochrypniętym basem „de profundis"; zaczyna się aklimatyzacja. Bronimy

się jak umiemy i stroimy się w chińskie futrzane czapki i rękawice. Nic nie szkodzi, że wyglądamy na eskimosów, zato nam uszy nie odpadną.

Człowiek dobrej woli.

Mam czas w Tientsinie wyłącznie na najważniejszą wizytę, do dr. Lossouarne'a. Trzy godziny, spędzone z nim w jego pracowni dyrektora Instytutu Pasteurowskiego, w przychodni okuli-



W Colombo.

stycznej, skąd wychodzą praktycznie wyszkoleni okuliści chińczycy, i w mieszkaniu prywatnem, dobrze znanem dla tych, kogo nie stać na prywatnie praktykujących lekarzy, trzy te godziny naszkicowały mi człowieka dobrej woli i czynu społecznego. Zrozumiał on, że w Chinach wielkich rzeczy można dokonać najprostszemi środkami i potrafił wykorzystać siły lokalne do swoich humanitarnych zadań. Założył on Ligę walki ze ślepotą w Chinach i poddał temu towarzystwu szersze cele: propagandę higjeny, wysyłanie instruktorów do tworzenia oddziałów szczepieniowych i ocznych, wysyłanie szczepionki ospowej gratis na pierwsze żądanie. Do tej akcji wciągnął on licznych misjonarzy, których zainteresował swemi artykułami pod tytułem: „Pogadanki lekarskie" w mis.

popularnem pisemku. Tą drogą osiągnął on tak znaczne wyniki, że w kraju, gdzie szczepienie ospy nie obowiązuje i tysiące giną od naturalnej ospy, jedna stacja misyjna dokonywa 20.000 szczepień rocznie. A takich ośrodków powstało już sporo.

Nie jest mu obcą działalność mis.-lekarska rodaczki naszej dr. med. Jadwigi Stermeckiej. Od $2^1/_2$ lat pracuje na chińskim terenie misyjnym i żadne przeszkody i trudności nie są w stanie ją zniechęcić ani złamać hartu polskiej duszy, mimo że tylko na własne siły może liczyć na obczyźnie.

Ks. Wacław Szuniewicz
ze Zgromadzenia Ks. Ks. Misjonarzy.

W Chinach.

W warowni Albjonu.

Hong-Kong nie pokazał nam bliżej swoich skarbów. Bawiliśmy w nim tylko przez dwie godziny i zużyliśmy je na wspinanie się z ulicy na ulicę po szerokich kamiennych schodach. Miasto położone u podnóża gór, wspina się odważnie nawet na strome spady, wznosząc o kilka metrów każdą ulicę. Poszczególne wille wabią nas choć z wysokości kilkuset metrów, a zębata kolejka zachęca do osiągnięcia szczytu Peak. Dziś jednak chmury obwarowały wyżyny i pozbawiają nas wspaniałego widoku na 900-tysięczne miasto, tonące w zieleni sadów wysepki.

Przed odjazdem ze wzruszeniem wstąpiliśmy na statek „Anger", który przed rokiem odwiózł do Chin sześciu naszych pionierów. Ich śladami płynie „General Metzinger", prowadząc nas do założonej już kolebki polskiej prowincji Zgromadzenia w Shuntehfu. Łatwiej przyjdzie praca nam, niż tym, co pierwsi wili gniazdo. A przecie Polska poleciła im uwić nie inne, tylko orle gniazdo!

Odczuwam pewien niesmak, kiedy wspomnienia zarysowują mi kontury wyspy w chwili wyjścia na pełne morze. Hydroplany wojskowe czatują tu z pod obłoków, tuż obok nas przepłynęły cztery uzbrojone łodzie podwodne, z brzegu żegna nas stalowy połysk armat fortecznych, a w uszach jeszcze brzmi ostra komenda angielskiej musztry, pod dźwięki której spożywaliśmy obiad w naszej Prokurze położonej tuż przy placu ćwiczebnym. Wrażenia te

ciężko się nawarstwiły jedno na drugie, wywołując przez asocjację koszmary ostatniej wojny. Czyżby i tu po 90 latach gospodarki w cudzym węźle tranzytu ryżu i trzciny cukrowej, pachło już prochem i krwią.

Tęsknica hinduska.

Cofnąłem się do zacisznego pokoiku. Jesteśmy na pełnem morzu, przypuszczam więc, że huśtawka morska pozwoli mi na



Ruch uliczny w Hong-Kong.

chwilę odosobnienia. Zawiodłem się jednak. Raczej sam przeszkodziłem samotnikowi. Ten hindus od kilku dni wpadł mi w oko Potrafił godzinami zabawiać dziatwę francuskich pasażerów, chociaż nie zna ich języka. Spokojna głębia jego oczu nie zamgliła się ani na chwilę wobec psot i mimowolnych przykrości, doznawanych od niepohamowanych łobuzów. I równie dobrze mu było w gronie rozbawionych dzieci, jak na ustroniu w samotności, w gronie własnych myśli.

— Ojciec się dziwi, że ja znoszę kaprysy tych chłopców? Ależ wręcz przeciwnie, warto podziwu, że one znoszą moje nieme towarzystwo. Dziecko posiada tyle skarbu prawdy w sobie, że obcowanie z niem przynosi dorosłym czysty zysk. Nawet ten najmniejszy urwisz, co plunął mi w twarz, jest posiadaczem naj-

bogatszej z jego miłej bandy natury. A przedewszystkiem posiadaczem czystej dziecięcej duszy.

— Czy masz pan własne dzieci?

— Nie. Dusza innych horyzontów szuka. I nie dałbym pełni szczęścia rodzinie, pochłonięty poszukiwaniem prawdy i badaniem tajemnic pięknego wszechświata.

— Gdzie i jakiej prawdy pan szuka?

— Ojcze. Nie stawiaj pytania podchwyconego. Wiem dobrze z Dżity i z głębi własnego serca, że prawda jest jedna, w Bogu, i że ją wszędzie wykryć potrafi ten, kto szuka całym umysłem i całem sercem. Ale świat dzisiejszy zamurowuje sam okno swej duszy, wypędza Boga ze swego życia, pozbawia celu własne istnienie. Nie chce szukać. I boli mnie ten ból chorego świata. Boli jego fałsz. Wy w Europie nosicie miano chrześcijan, a iluż z was istotnie żyje po chrześcijańsku? Hasła rzucacie wzniosłe, a praktykujecie okrutny wyzysk całych narodów, oparty na przemocy, na brutalnej sile? Dla mnie to zagadnienie jest tem boleśniejsze, że mój własny naród stał się ofiarą wyzysku na wielką skalę.

— Wierzaj mi pan, że go rozumiem. Nasz naród długo jeszcze ma goić swe rany wiekowej niewoli, łatwiej nam przeto odczuć cierpienia Indyj. Zresztą cześć Ameryki dla Pułaskiego pomnikiem czynnego współczucia polaka.

— Brak prawdy w życiu społeczeństw europejskich nie przeszkadza mi szukać jej w jego doktrynach. I lubuję się w codziennem czytaniu: „O naśladowaniu Chrystusa".

Jednak zniechęca go „ubóstwienie" Chrystusa, w którym on widzi jedynie proroka, gotów jest radzić się jego, lecz odmawia posłuszeństwa. Bardzo wysoko ceni własną religję i chlubi się tem, że nawet polityczne życie jego narodu tchnie głębią przekonań religijnych. Mahatma Ghandi potrafił skierować tłumy w ich słusznym proteście na tory bezkrwawej walki. Cytuje na pamięć antologję religijną swych 40 poetów i mnie obiecuje nadesłać angielski jej przekład. Jest przecież o tyle szczery, że przyznaje mi rację co do filozoficznego charakteru jego religji, jej modernizacji zasadniczej, dostrzega luki w teorji wędrówki dusz i nie może, chociaż mu to sprawia ból, obronić się przed zarzutem panteizmu. Szuka on i nadal szukać będzie, a chętnie nawiąże korespondencję. Wychował się w przywiązanej do tradycyj rodzinie w pobliżu świętego miasta Benares, umysł wykształcił na modłę wschodnią, zachodnią kulturę poznał przez okulary Japonji,

gdzie go stale zatrzymują stosunki handlowe, a w rocznej podróży dookoła świata zbliska się przyjrzał życiu. I spotkał w niem prawdę tylko tam, gdzie panuje bieda.

W Szanghaju żegnam pana Czühermilę i obiecuję odpisywać na jego listy, jeżeli znajdą w nich oddźwięk kwestje poruszone przy naszem przelotnem spotkaniu.

Podczas pięciotygodniowej podróży przywykliśmy do okrętu, jak do własnego mieszkania. Zwłaszcza przyjemne wrażenia zostawiła tradycyjna pasterka, która zgromadziła zarówno pasażerów, jak i załogę. Podczas Mszy św. kilka osób przystąpiło do Stołu Pańskiego, a po nabożeństwie dwoje dziatek w bieli otrzymało z rąk mego konfratra Cudowny Medalik. W myśli tylko przełamaliśmy się opłatkiem z naszą liczną Rodziną na Stradomiu i ukochaną arjergardą współpracowników na niwie propagandy misyjnej. Zdaleka może tem wyraźniej czuliśmy swą ideową łączność z nimi.

W porcie Shanghaju.

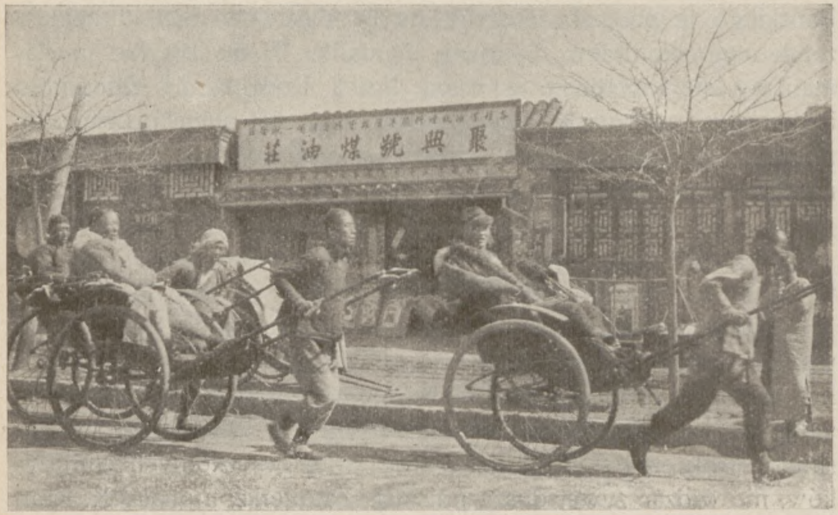
Drugi dzień Świąt, staje się dla nas podwójnie świątecznym wobec spotkania naszego Superjora, który tysiąc kilometrów przebył na nasze przyjęcie, a jednocześnie opromienił swą obecnością wilję naszych samotników w seminarjum św. Wincentego w Kashingu. Rok cały spędzili oni wśród kolegów szkolnych chińczyków, nie widząc żywej duszy polskiej. Zato teraz, oprócz X. Krausego i nas będą gościli u siebie przez parę dni.

Tymczasem barjera celna psuje cały urok spotkania. Zgrzyt wyrywanych gwoździ, stukanie młotków, jazgot naszych niezliczonych kluczów, wrzawa urzędników celnych i kulisów, całą godzinę trwał zgiełk, wyjaśnienia i pakowanie ponowne. Nareszcie samochód porywa nas w wir ulicy chińskiej i zanurzamy się do zwartej masy powozów i ludzi.

Tylko tu da się spotkać obok siebie wszystkie rodzaje środków komunikacyjnych Wschodu i Zachodu, przedpotopowe wehikuły, obok samochodów ostatniej marki. Oto w leciuchnej dwukolce na gumach jedzie rykszą (pus pus) emigrant rosyjski, za nim w palankinie niosą kulisi brodatego policjanta hindusa, tu znów wymijamy niewygodną obładowaną jednokółkę, a prymitywna ta taczka z wystającem z za środka jej kołem służy nietylko dla ciężarów, lecz przewozi również 4 do 6 ludzi naraz. Konne

karetki, rowery, motocykle i samochody w zręcznym wyścigu walczą o pierwsze miejsce, ale nieraz tamuje ruch ciężki zaprząg dziesiątka kulisów, ciągnących olbrzymie belki lub paki. Kto wie, jak tragicznie przedstawiałaby się tu kwestja bezrobocia, gdyby nie swoista postać człowieka pociągowego. Wobec jego konkurencji nie opłaca się utrzymanie zwierząt pociągowych, a nawet maszyna nie wytrąca go z zajętych pozycyj pracy.

W Prokurze C. M. wita nas spora gromadka konfratrów. Bawi tu chwiłowo ks. biskup Dumond ze swoim kapelanem, we-



Ulica w Pekinie.

sołym holendrem. Ciągłe napady i zdemolowanie misyj na południu zmusiły ich do chwilowego opuszczenia wikarjatu Kanchow. Że uszli cało, zawdzięczają to jedynie przywiązaniu wiernych. Przeszło 100 km. przeszli pieszo, ratując się ucieczką. Inny konfrater amerykanin również czeka w centrali na ustąpienie bandytów z jego okolicy.

Przy stole słuchamy opowiadania chińskich księży gości o warunkach ich pracy. W tej chwili nadchodzi depesza o wyzwoleniu z niewoli SS. Miłosierdzia, porwanych w Kian-fu przez bandytów. Spieszymy do kaplicy z radosnem dziękczynienien, poczem wyruszamy do Kashingu.

Dwie godziny w pociągu chińskim.

Pociąg odchodzi punktualnie. No i wierz tu ludziom! Tyle twierdzili nam o brakach czwartego wymiaru w chińskich umysłach, tymczasem ks. wizytator Legris reguluje własny zegarek podług chwili odjazdu pociągu i chwali doskonały ruch na arterjach chińskich.

Dla braku miejsc w trzeciej klasie jedziemy drugą. Tu również noworoczny ścisk i gwar. Wagon, jak wagon, niektóre jednak cechy jego wpadają w oko.

Kashing.

Nie mniej krzykliwie spotyka nas w małej mieścinie, na stacji. Rykszarze wyrywają nas sobie wzajemnie. Po chwili czujemy się przemocą wsadzeni do rykszy i jesteśmy już w wąziutkiej uliczce Kashingu (czyt. Kaszinu). Wije się ona krętemi zygzakami, zawraca czasem pod kątem prostym, po chwili wspina się na most nad kanałem miejskim.

Miał rację życzliwy konfrater chińczyk, kiedy uprzedzał o konieczności wyrzeczenia się zmysłu powonienia. Wszystko naturalne załatwia się tu na ulicy z wielką prostotą, a równie naturalne ścieki długiemi rowkami prowadzą opady i odchody do kanałów. A po obu stronach ulicy wynicowane wystawy wiktuałów, przepełnione herbaciarnie, dymiące uliczne kuchnie... A stutysięczny mrownik wre życiem, w sklepach ruch, na ulicach kłębi się tłum...

Stajemy. Ulica zaczopowana. To żebraczka środkiem ulicy toczy tłomok, w którym rozpoznajemy skrępowanego powrozami żebraka. Podwinięto mu nogi, workiem unieruchomiono ręce, a błoto, strupy i grymas obliczono na wzbudzenie litości. A obok w rynsztoku leży inny żebrak. Niby bezwładny, nieartykułowanemi dźwiękami wzrusza serce przechodnia. O kilka kroków wyciągają dłoń ślepi, dalej znów prosi o jałmużnę starzec. Wszyscy ci żebracy są członkami przemożnego związku i mieszkańcy miasteczka są pewni na mocy doświadczenia, że każda okazja zostanie wykorzystana w celu wyłudzenia grosza od każdego obywatela. Jest to rodzaj podatku. Czasami jałmużnie nadaje się pozory zarobku. Za otwarcie drzwi wchodzącemu, nawet za ukłon należy się datek, wyciąga się dłoń.

Na ustroniu, za miastem, nasze seminarjum kashińskie otoczyło murem swój sad i budynki. Tu się przekształca umysło-

wość chińczyka, w ciągu szeregu lat studjów zaprawia się do systematycznego oderwanego myślenia i do logicznego wnioskowania. Podobno, w języku chińskim nie istnieje odpowiednik słowa „ergo“ i niejeden uczeń dostaje odcisków na mózgu po



Kashing. (X. Kotliński, X. Czapla, X. Stawarski i X. Redzimski).

opanowaniu znaczenia przesłanek i wniosku. Dowcip dowcipem; przeszłość chińskiego narodu nie upoważnia bynajmniej do takiego twierdzenia. Prawdą pozostaje fakt, że chiński seminarzysta wpierw musi opanować dwa obce języki, żeby otworzyć sobie drogę do

studjów filozoficznych i teologicznych. Niejedno pojęcie oderwane nie ma wcale odpowiedników językowych w jego mowie ojczystej, wobec czego pozostaje on zdany na łaskę własnej intuicji.

Wielu z seminarzystów zapada na płuca i nie kończy studjów. Jeszcze liczniejsi cierpią tu na malarję. Tylko, że nie uważa się jej w tej okolicy za chorobę. Chininę włącza się do „ménu" codziennego i więcej się o zimnicy (malarji) nie myśli. Tak postąpili i nasi klerycy polscy ze swoją zimnicą.



Kashing. Nowo wyświęceni kapłani w dniu 17 lutego b. r. Wśród nich X. Czapla i X. Stawarski.

Ten sam tor nabożeństw i modlitw raz jeszcze nam przypomina, żeśmy we własnej rodzinie. Jakkolwiek migi więcej dopomagają do porozumienia się, niż sędziwa łacina. A nasi konfratrzy po roku współżycia rozmawiają swobodnie po chińsku i patyczkami („kůejdze") zgrabnie zastępują widelce przy stole. Nieufnie ich traktowano przez długie tygodnie. Dla chińczyka każdy europejczyk jest niepowściągliwym, brutalnym, niemową, bez ogłady, barbarzyńcą. Wszakże wielka miłość i wyrozumiałość przełamały lód. Otwartość i szczerość polska zaimponowały chińskim studentom. Nie przyznawali się oni długo do tego, boć to nie paru lat katolickiego wychowania trzeba do wykorzenienia głęboko wpojonej w ich duszę nieufności względem białych.

„Jan kůej dzy“, zamorski djabeł; już Sieroszewski słyszał ten chiński przydomek europejczyka przed kilkudziesięciu laty. Do dziś tytułu tego chętnie się używa, z postępem jednak stosunków przekształca się to nazwisko w bardziej pogardliwe: „Pu-Ku“, czyli: białe psy. Czy to zniechęca misjonarza? Bynajmniej, pobudza do większej dawki miłości i dalszego oczyszczenia intencyj pobytu „białych“ w Chinach.

W jaki sposób przełamano lód nieufności, opiszą to sami konfratrzy. Zaznaczę tylko, że potrafili oni zdobyć nietylko ogólną życzliwość, lecz nawet przyjaźń niektórych chińczyków. Zdaniem przełożonych dotychczas żaden europejczyk nie wczuł się z taką łatwością w psyche chińczyków-seminarzystów i nie zdobył w takim stopniu ich życzliwości i przyjaźni, co nasza trójka pionierów polskich. Niezawodnie przyczyniła się do tego względna łatwość w opanowaniu języka. Wszystkie dźwięki mowy chińskiej posiadają dokładne odpowiedniki w polskiej, jak np.: ń, ę, ą, dz, dź, ś, sz, cz, ch itp. Nie dziw przeto, że wygłoszone po pierwszem półroczu po chińsku w refektarzu przez polskiego teologa kazanie szkolne, zostało zrozumiane przez wszystkich kolegów chińczyków.

Dwa dni w Kashingu przebiegły nam niepostrzeżenie. Rozstajemy się nie na długo, bo za pół roku mają dwaj konfratrzy przyjść do pracy kapłańskiej do Shuntehfu. Do towarzystwa zostawiamy im czwartego członka naszej grupy, akademika 2 roku teologji i w zredukowanym składzie powracamy do Shanghaju.

Pekin.

Umierające miasto. Chwileczkę, bo od pierwszych słów mam albo korygować albo wyjaśniać.

Przedewszystkiem nie Pekin, tylko od paru lat Peiping (albo Pepin). Nie „północna stolica“, tylko „północna równina“. Zazdrosny konkurent południowy Nankin („południowa stolica“), usiłuje zatrzeć nawet ślady dawnej supremacji Pekinu. Nie zadowala się on koncentracją centralnych władz i urzędów w sobie lub w pobliżu, lecz do szlachetnych dążeń obudzić naród do samodzielnego życia politycznego, łączy on pragnienie wydrzeć szereg stronic politycznej historji Chin z okresu uległości Mandżurom z północy. Niechże i imieniem swem dawna siedziba obcych władców nie wzbudza upokarzających wspomnień poddaństwa.

Zgoda, fiat Peiping. A przydomek „umierające miasto“? Szukam zaraz na wstępie umarłych. Rykszaż wiezie mnie tutaj z większą rozwagą, niż w Szanghaju i Hongkongu, rzadziej nawet pokrzykuje, ale wymija samych żywych, zdrowych, pękatych. Nareszcie sklep trumien. Ale spokojnie czekają olbrzymie, ciężkie trumny na kandydatów, na razie w szopie nikogo. Zamiast pochodu pogrzebowego, natrafiamy na weselny. Na czele kroczą chorągiewki, wślad w dwu szeregach muzykanci w czerwonych



Personal Drukarni XX. Misjonarzy w Pekinie.
Na czele drukarni stoi brat Maas, francuz rodem, i drugi brat chińczyk.

liberjach o złotych naszywkach, niosą wspaniałe bębny, czynele i trąby. Za nimi palankin zamknięty, przystrojony suto na czerwono i żółto, o licznych frendzlach i ozdobach. Niosą w nim pannę młodą. A wkoło roi się od małych i dużych gapiów. Czasem zaświeci golony łeb, albo cała czaszka. Częściej jednak styczniowe zimno zmusiło biednego kulisa do owinięcia głowy brudną szmatą, zawiązaną od tyłu jak niewieścia chusta. Większość mężczyzn ma mycki, bogatsi w uszatych czapkach futrowych. Nasza grupa ubrała się również w eskimosów po dokuczliwej drżączce z zimna w Tientsinie. Co prawda i w tym wypadku polak był

mądry dopiero po biedzie. Jeden z nas przeleżał przeziębiony w łóżku, drugi przybrał tajemniczą postawę, gdyż chrypka zmusza go do mówienia szeptem. Trzeci wynalazł w aptece czizbrowazelinę charbińskiego wyrobu i ratuje popękane do krwi wargi.



Pomnikowa kaplica seminaryjna w Chala. Po lewej stronie fragment czarnej tablicy z nazwiskami męczenników.

Tak się nam te czapki wobec nielitościwego zimna podobały, żeśmy ich nie zdejmowali nawet w kościele. Zgroza! Nieprawdaż? Cóż, kiedy tutaj taki zwyczaj. Gadaj tu z chińczykami, a zwłaszcza kiedy nie umiesz jeszcze po chińsku. Raczej niepokryta głowa wzbudzi tu zdziwienie, bo chińczyk nawet w katedrze,

nie zdejmie, ani mycki, ani czapki. Proszę się przeto nie gorszyć z nas maluczkich, żeśmy się zastosowali do nowego środowiska. Tak samo w refektarzu nie ma zwyczaju obnażania głów. A ręce



Cmentarz w Chala. W głębi wspólny grobowiec męczenników Misjonarzy z okresu ruchu bokserskiego.

w rękawach, naturalnie o ile są nieczynne. Źle? Dobrze? „chao“ (dobrze), inaczej skostnieją palce ani się spostrzeżesz.

Ale powracam do poszukiwań za umarłymi. Gdybym je chciał rozciągnąć na przestrzenie, ułatwią mi podróż wielbłądy, których karawany kroczą ulicami miasta. Mniej wygodnie dla przechodniów, kiedy zmęczona dwudziestka garbatych olbrzymów

upatrzy sobie chodnik na wypoczynek i zajmie go na klęczkach na przestrzeni całego kwartału. Zdaleka się ich omija środkiem ulicy, bo nuż którykolwiek zechce złożyć dowód nieomylnej celności i plunie któremu z nas w twarz. Na następnej ulicy omijamy inny pochód. Zaprząg mułowy, taczki dwukołowe, straż orężna, a wśród żołnierzy grupa drżących z zimna i przerażenia skazanych na rozstrzelanie. Gawiedź uliczna tłoczy się dookoła i biegnie za taczkami, gwarna, wesoła, żądna krwawego widowi-



U kupca chińskiego.

ska. Tu się mniej bawią w sentymenta i kara śmierci zawsze zgromadzi więcej widzów, niż popularny teatr.

Wymijamy i śpieszymy na cmentarz. Poza miastem, w Chala, pomiędzy seminarjum Księży Misjonarzy, a szkołą Braci Marystów, stoją pamiątkowe stelle na grobach misjonarzy, zaś obok szereg grobów parafian europejczyków. Niewielki cmentarz, lecz ileż to wspomnień łączy się z napisami na stellach. Tu szczątki sławnego misjonarza XVII w. Ricci'ego, tu wspólny grobowiec ofiar bokserów, najbliższa stalla mówi o zwłokach młodego misjonarza, zmarłego dopiero przed paru laty na stanowisku. Jakby dalszy ciąg stell stanowią napisy na ścianach kapliczki seminaryjnej. Bez końca ciągną się szeregi nazwisk poległych przed

30 laty chrześcijan: 6000 imion męczenników wymowniej przemawiają, niż długie stronice historji. Ponad taśmą hieroglifów-imion wiernych, tablice z wykazem umęczonych misjonarzy. Wśród takich drogich pamiątek, owianych świeżemi jeszcze wspomnieniami męczeństwa swoich rodziców i krewnych, wychowuje się garstka seminarzystów seminarjum regjonalnego. Stąd idą kapłani do pracy parafjalnej miasteczek i wsi, wnosząc ze sobą ducha pierwotnej gorliwości chrześcijańskiej, niemal z czasów katakumbowych.



Ulica chińska.

W drodze powrotnej do Peip'ingu omijamy grobowiec familijny dawnego ministra chińskiego, obecnie zakonnika, benedyktyna w Lophem-les-Brugen. Gliniany mur otacza cały cmentarzyk, a piękny chiński portyk oczekuje na swego fundatora.

W Peip'ingu zawracamy na północ, skierowując się do Pet'angu (północna świątynia), siedziby biskupiej i ośrodka Zgromadzenia Księży Misjonarzy na Chiny Północne. Stylowe pawilony chińskie wprowadzają na babiniec katedralny. Jeden z nich osłania pamiątkową stellę z wyrytym na niej cesarskim aktem darowizny terenów pod świątynię. Marmurową stellę unosi olbrzymi żółw, symbol długowieczności. Czy nie parodoks lokalny? Nazwać kogoś żółwiem, znaczy obrazić chińczyka śmiertelnie (podobnie

jak i nazwanie zającem). Natomiast w pomnikach i symbolach wyrażą żółw bardzo tu cenioną długowieczność.

Bolesnym jest inny parodoks. Piękne i przestronne kościoły nie świadczą bynajmniej o ilości wiernych. Mozolna praca misjonarzy nie daje tu wyników namacalnych, w kościołach przeważa podczas nabożeństw dziatwa zakładów opiekuńczych, a statystyka nielitościwemi liczbami wykreśla nikły roczny przyrost wyznawców Chrystusa. Ateizm zatacza coraz szersze kręgi i zamyka uszy i serca na propagande nauki Chrystusa. I brzmią mi w uszach słowa prorocze trapisty-weterana modlitwy chińskiej: za mało jeszcze cierpień, za mało krwi, jedynie z wielkiego bólu i mąk powstaną nowe chrześcijańskie Chiny.

Niedługo bawimy w Peip'ingu. Korzystamy z uprzejmości p. Witolda Jabłońskiego, by poznać dwa główne zabytki: pałac cesarski i Świątynię Nieba. Pałac w szparach i pod warstwą kurzu każe domyślać się dawnego piękna i przepychu. Dziś amerykański opiekuńczy dolar usiłuje zakonserwować mumję imperjalizmu chińskiego, przekształcając cały pałac w olbrzymie muzeum historyczne. Wszakże odbiera się wrażenie nieuniknionej ruiny. Ciężkie dachówki gniotą słabe filary, malatura płowieje, mury się porysowały i wspaniałe łuki i ornamenta niezliczonych „pawilonów wystawowych" noszą piętno zagłady.

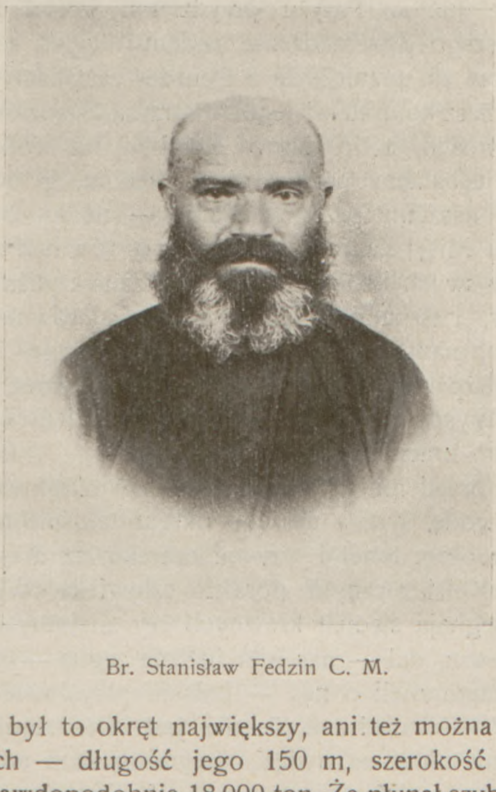
Syn nieba, pan całej ziemi, imperator w swych dobrach prywatnych posiadał wszystkie morza pod postacią trzech stawów, a w jego świątyni stykało się niebo z ziemią. Przepiękne marmurowe czteropiętrowe podjum wznosi się na małej polance zamiejskiego lasu, połyskując zdaleka w oślepiających promieniach chińskiego słońca. Tajemnicza tafla środkowa wydaje przy uderzeniu szczególny dźwięk, którego echo rozlega się niezwykle głośno i przelewa się pięciokrotną falą. Nie jest to napewno echo sfer niebieskich, chociażby chińskich, posiada ona wszakże swoisty urok. Tu w zupełnej ciszy i samotności same napływają myśli o odgłosach zaświatów.

Ks. W. Szuniewicz
Misjonarz.

Br. STANISŁAW FEDZIN C. M.

Wrażenia z podróży I. grupy misyjnej XX. Misjonarzy do Chin w roku 1929.

Dnia 16 listopada 1929 r. o godzinie 6 wieczór odbił nasz okręt „Angers“ od brzegu w porcie Marsylji, by przez morze Śródziemne, Kanał Sueski, Morze Czerwone, Ocean Indyjski, przez Cejlon i Malagę, do Morza Chińskiego przerzucić nas na ziemie



Br. Stanisław Fedzin C. M.

chińskie. Nie był to okręt największy, ani też można było zaliczyć go do małych — długość jego 150 m, szerokość około 15 m, pojemność prawdopodobnie 18.000 ton. Że płynął szybko przekonaliśmy się podczas podróży, gdy zauważyliśmy, że często dopędzał inne okręty i wyprzedzał, mknąc naprzód; przepływał na dobę

320 do 340 mil morskich, jak wskazywała mapa okrętowa, na której każdego dnia było uwidocznione, stosownie do tego, czy morze było spokojne, czy burzliwe. Głębokość, jak również na mapie linja nasza wskazywała, od kilkudziesięciu do 4.800 m (prawie 5 klm), trudno prawie uwierzyć w tę rzeczywistość; i dziwna, że na tych głębiach okręt prędzej płynął — bywały dni, że morze przedstawiało jakoby dużą szybę szklaną, bez zmarszczki, wtenczas okręt jakby drwił sobie z morza, pruł fale, odrzucał na obie strony i tylko poszum dolatywał uszu, a za okrętem biała szeroka wstęga na kilometr widoczna, wskazywała, że tędy ta „łódka" mknęła, woda w niektórych miejscach wydawała się zielona, a odbijane fale miały wygląd brył lodu, łamanego na stawie, również zielonkowate.

Ale wracam jeszcze do portu w Marsylji. Grono nasze powiększyło się już w Paryżu przydzielony został jeden kleryk, również z naszego Zgromadzenia, rodem Węgier, zaś w Marsylji, już w Prokurze po przyjeździe z Lourdes zastaliśmy 4-ch księży; z tych jeden nasz konfrater i jego towarzysz ksiądz świecki, którzy są stale w Chinach, a do Europy przybyli na krótki czas i wracali; z nimi jechaliśmy później aż do Pekinu, gdzie już po znajomości byli naszymi przewodnikami — nadto 2-ch księży ze Zgromadzenia Misyj Zagranicznych, którzy również wielkie oddali nam usługi w swych Prokurach. Później zauważyliśmy 4 ch księży Dominikanów, Hiszpanów, jednego księdza również z jakiegoś Zgromadzenia, nadto 10 zakonnic, 7 z pewnego Zgromadzenia a 3 Dom. Hiszpanki. Wszystko to jechało również do Chin, Japonji lub na Wyspy Filipińskie. Więc „duchowieństwa" była spora paczka — ale „braciszek" tylko jeden...!

Krótko przed podniesieniem kotwicy okrętowej i spuszczeniem go na wodę, syrena naszego okrętu żałośnie trzykrotnie zaryczała, jakby okręt tonął i wzywał ratunku, aż dreszcz przeszedł, jakby prądem elektrycznym poraziło człowieka. Wiele ludzi stoi na peronie, żegnają swoich krewnych czy znajomych, odjeżdżających w niepewną dal — nas nikt już nie żegna — pożegnali nas, a może już zapomnieli o nas — polskie przysłowie: „co z oczu to i z myśli" — o nie! tak źle nie jest. Oto zanim odwiązano liny, trzymające okręt na uwięzi, przynoszą nam telegram z Krakowa od naszego X. Wizytatora i X. Superjora Weissmanna w imieniu całego Zgromadzenia, życząc szczęśliwej podróży i zapewniając o pamięci w modlitwach a i inni nasi najdrożsi i sercu

najbliżsi pamiętają też i modlą się — i ich to modlitwom też zawdzięczamy, że Dobry Bóg szczęśliwie przeprowadził nas przez te oceany, a i teraz tak łaskawie opiekuje się nami. Więc wszystkim i za każde westchnienie w naszej intencji niech sam Pan Jezus będzie nagrodą, serdeczne Bóg zapłać!

Ruszył okręt i zwolna oddala się... coraz to dalej od brzegu, każdy przeżegnawszy się, myślą żegna jeszcze raz wszystkich t. j. najdroższych i wszystko i ukochaną Polskę niedawno zmartwychwstałą i Europę ze wszystkiem co jej, całą! patrząc, już daleko jesteśmy na wodzie, a jeszcze ten i ów wywija chusteczką, bo chociaż to przy świetle elektrycznem, rozpoznaje tam daleko na brzegu niejedną płaczącą osobę.

Gdy znaleźliśmy się na pełnem morzu, syrena jeszcze raz zaryczała na znak pożegnania — słychać było jeszcze tylko szum odbijanej fali. Deszcz zaczął padać rzęsisty jeszcze przy brzegu, a ja wróżyłem, że dobry Bóg spuszcza rosę na glebę, którą będziemy uprawiać, t. j. biednych duszyczek.

Okręt nasz, który przez kilka tygodni miał nam służyć, na dom, kościół, teren przechadzek i t. d. powitaliśmy radośnie, nadto i kabiny, które miały zastąpić nam „cele" na cały czas podróży. Co prawda kabiny były szczupłe, mimo, że druga klasa. Obszar mniej więcej, $4\frac{1}{2}$ m długi, 2 m szeroki i $2\frac{1}{2}$ m wysoki, mieściło się w niej 4 łóżka, t. j. 2 na dole, 2 na górze (jedne nad drugimi) 2 umywalnie, szafka na rzeczy i sofka dla wszystkich, niestety, bo i ta musiała służyć za łóżko dla piątego, tak nas rozmieszczono. Księża byli w jednej kabinie z trzema panami świeckimi, my zaś z tym klerykiem, 5-ciu razem w drugiej.

Z początku czuliśmy się bardzo ściśnieni, przyzwyczajeni w Krakowie do wygodniejszego mieszkania, pomni jednak, że kiedyś i 4 deszczułki aż nazbyt wystarczą, poczęliśmy się godzić na wszystko i ze wszystkiem oswajać, tembardziej, gdy nam X. Krauze powiedział, żebyśmy nie zapominali, że jedziemy na misje, gdzie możemy spodziewać się większych niewygód i t. d., z czem trzeba godzić się i zawczasu przygotowywać.

W pierwszych dniach podróży nasi księża odprawiali nadto i msze św. w naszej kabinie (bo była cała „duchowna"). Wstawaliśmy zawsze o godzinie 4-tej, po rychłem ubraniu budowaliśmy ołtarz z naszych walizek na wspomnianej sofce — było, jak w stajence betlejemskiej, (brakowało tylko wołu, bo osiołka ja zastępowałem), odprawiali jeden po drugim, a my byliśmy u Ko-

munji św. Później porozumieli się z zarządem okrętu i odprawiali w sali okrętowej dla I klasy, gdzie potem odprawiali wszyscy księża, było ich razem 11, wówczas budowano 3—4 ołtarze na stołach i msze św. wychodziły jedne po drugich, z czego korzystały też i wspomniane zakonnice, bo słuchały mszy św. i do Komunji św. przystępowały — zaś klerycy i ja służyliśmy naprzemian do mszy św. Komunikanty mieliśmy. Z czasem i z pasażerów niektórzy przychodzili na mszę św. jakoteż i do Komunji św. i spowiadali się. W niedziele i święta uroczysta była zawsze jedna msza św. o godzinie 8 dla wszystkich. Dużo publiczności przychodziło na mszę św. i bardzo przykładnie modlili się również.

Po upływie $^1/_2$ godziny jazdy i rozlokowaniu się w naszych kabinach, dano sygnał na kolację, pierwszy posiłek na wodzie, zaś po kolacji pomodliwszy się, poleciliśmy dusze Panu Bogu, ciało nurtom wody, poszliśmy spać — byliśmy pomęczeni temi podróżami i wrażeniami, a dwie noce z rzędu niewyspani, bo w pociągu nie dało się położyć, tylko siedząc — drzemaliśmy, kiwając do siebie wzajemnie. Więc z początku szum fali (kabiny nasze były w wodzie), nieco przeszkadzał, oswoiwszy się z tem, posnęliśmy i dopiero o 4-tej budzik obudził nas.

Była niedziela, dzień 17 listopada. Po mszach św. i śniadaniu, poszliśmy na pokład, zobaczyć świat na morzu. Było już jasno, już około 6-tej godziny wjechaliśmy w cieśninę pomiędzy Sardynię po prawej, a Korsykę po lewej stronie, okręt płynął środkiem, więc mogliśmy się przypatrywać obydwom lądom, zachwycaliśmy się temi wybrzeżami i śmiałem szybowaniem łodzi rybackich po obu stronach.

Około południa zauważyliśmy hen, daleko na morzu po lewej stronie jakąś wyspę dopiero po kilku godzinach dopłynęliśmy bliżej. Jest to wyspa „Stromboli“, z której krateru ciągle dymi, a od czasu do czasu i płomień ukazuje się. Właśnie w chwili, gdy coraz więcej zbliżaliśmy się, buchnął płomień i wyrzucił większą ilość lawy, która zwolna spływała ku morzu. Okręt płynął dość blisko od 1—1$^1/_2$ klm, jakoby okrążając Stromboli mogliśmy przypatrywać się bliżej, zwłaszcza przez lornetę zauważyliśmy po jednej stronie u jej podnóża kilkanaście domów, pewnie osada rybacka, po drugiej zaś jakieś miasto z dwoma kościołami i jakimś większym zakładem — zaś o jaki kilometr pod górę znać było pola uprawne (wysokość tej wyspy 900 m). Podziwialiśmy tych mieszkańców, że nie obawiają się, by ten olbrzym nie „plu-

nął" kiedy na nich lawiną i nie ochlapał... nie zalał całego miasta razem z mieszkańcami — chyba, że znają się już — oswoili się z nim.

Następnego dnia wjechaliśmy w drugą cieśninę, pomiędzy Włochy po lewej, a Sycylję po prawej stronie. Tam również piękne bardzo wybrzeże zachwycało nas — po stronie włoskiej piękne winnice i miasto Regio, oraz Mesyna w Sycylji nad samym morzem, częściowo odbudowana po znanej strasznej katastrofie podczas trzęsienia ziemi, zaś po obu stronach piękne wzgórza pokryte zielenią, a szczególnie po stronie włoskiej, całe pasma gór z rozsianemi po nich osadami, poprzeżynanych wąwozami i rzekami spadającemi do morza. Dopiero zmierzch wieczorny zasłonił przed nami tę panoramę.

W pierwszych dniach podróży na morzu Śródziemnem okręt nasz, widząc, że ma do czynienia z ludźmi nie obeznanemi z morzem, zaczął wyprawiać harce, poprostu figlować; podniósł dziób do góry na kilka metrów po to tylko, by za chwilę o drugie tyle zaryć nim w głąb morza, a tem samem sprawić nam miłą huśtawkę — lub przechylał się cały na bok, jakgdyby zmęczony do snu się układał — namęczywszy się, udaje zucha, pruje fale przed sobą i z pogardą odrzuca na obie strony, zaś wiatr, nieodłączny jego towarzysz, porywa falę, unosi, rozpyla ją i nas nią obdarza, urządzając nam nieznaną dotychczas „aspersję".

Jednak po pewnym czasie okręt spostrzegł, że ma z ludźmi kulturalnymi do czynienia, uspokoił się, a nawet spoważniał i jakby żałował niewczesnych swych figli, poprawił się i wiózł nas odtąd spokojnie.

Ale to spowodowało, że jednego czy dwóch dni nie mogli księża odprawiać mszy św., bo mógłby się stać wypadek, a nawet nie można było stać spokojnie.

Po kilku dniach zajechaliśmy do Port-Sajdu, gdzie okręt zatrzymał się po raz pierwszy, celem zaopatrzenia się w węgiel i „słodką" wodę.

Skorzystaliśmy z tej przerwy, zeszliśmy po spuszczonym pomoście i przez most prowizoryczny poszliśmy do miasta przypatrzeć się i nadać kartki do Polski, które kto mógł, po drodze przygotował. Wszystko inaczej jak u nas — policja przeglądając paszporty, w mundurach i szable u boku, w tureckich czerwonych czapeczkach z czarnemi kiściami, ale... boso..., bardzo dziwno nam się widziało. Miasto dosyć przyjemne, szczególnie roślinność

zachwycała nas, a najwięcej palmy olbrzymie obok trotuarów (u nas kasztany).

Gdyśmy wrócili, zastaliśmy jeszcze ładujących węgiel, było ich około 100 osób, sami murzyni, mieli do wsypania coś 8 dużych galarów, najpierw wciągali na wierzch galarów grube belki, po których mieli chodzić, do jednej czepiało się 15—20 ludzi, dodając sobie taktu, jednocześnie wołali wszyscy: ta, ta, ta, bez końca, ubrani byli w czarne tuniki i na głowie szmata.

Wychodząc z kabiny nie zamknęliśmy jej, tak nam polecono, miał to zrobić służący okrętowy, czego też nie dopilnował; ponieważ okienko od strony morza było otwarte, a nad niem był otwór do sypania węgla, tak zakurzyli naszą „izdebkę", że wszedłszy, nie mogliśmy jej poznać. Łóżka jakby kirem pokryte, dopiero o godzinie 10 mogliśmy byli powrócić do swojej „celki".

Po załadowaniu węgla i wody ruszył okręt, a po krótkim czasie płynęliśmy kanałem Sueskim, który przez noc przejechaliśmy do połowy t. j. do jeziora gorzkiego. Rano po mszach św. poszliśmy na pokład kończyć paciorki na świeżem powietrzu, obserwując wybrzeża kanału Sueskiego w dalszym ciągu, aż do Suezu. Po obu stronach kanału to „pustynia i puszcza", piaski i wydmy w nich jak okiem sięgnąć, zwłaszcza po stronie arabskiej; zaledwie tu i ówdzie zauważyliśmy Arabów, kłusujących na wielbłądach, robotników murzynów, naprawiających nadwerężone podmurowania kanału, rzadko jakąś osadę, jak bydełko, hen, daleko pasące się.

W Suezie stał okręt bardzo krótko, zdala od portu, więc nie wychodziliśmy. Z Suezu wyjechaliśmy na morze Czerwone, mając w dalszym ciągu jazdy po lewej stronie Arabję, po prawej Egipt. Strona arabska to znowu pustynia, zaś egipska gdzieniegdzie więcej urozmaicona, częściej można było zauważyć jakieś osady, pola uprawne, roślinność i t. d. dopóki nie wyjechaliśmy na pełne morze.

Jadąc morzem Czerwonem (4 dni jechaliśmy morzem Czerwonem) nuciłem niektóre zwrotki z pieśni na Wielki Post „Ludu mój ludu", „Morzem otworzył, byś szedł suchą nogą", „Jam Faraona dał w odmęt bałwanów", „Jam cię wprowadził w kraj miodem płynący" i t. d. Dojechaliśmy do portu „Djibouti" (Dżibuti), gdzie wysiadaliśmy również, by nadać pocztę do Polski przygotowaną po drodze. Ponieważ okręt stał tam kilka godzin, nie wracaliśmy prędko, gdyż było dość czasu.

Piękną rozrywkę mieliśmy w Dżibuti, a mianowicie: skoro okręt stanął, pojawiło się około niego na wodzie 10—15 wyrostków w wieku od 12—16 lat. Kostjum, to opaska na biodrach; podpłynęli bliżej okrętu, wołając wszyscy jednogłośnie: o-ho, o-ho, o-ho, patrząc, czy nie rzuci im kto czego, skoro ktoś rzucił monetę do wody, dawali nura i pierwszy ukazywał się, który ją uchwycił, a włożywszy do ust, powtarzali swoje o-ho, aż znowu ktoś rzucił monetę. Niektórzy z nich wchodzili po linie na pokład, jak dostał pieniądz, rzucał się do wody, a po chwili ukazywał się na powierzchi, inni zeskakiwali z dachu okrętu, w ten sposób publiczność ubawili i zebrali grosze, trwało to, aż okręt ruszył. Byli też i kuglarze i ci swojem powtarzaniem: gala, gala, gala i różnemi sztuczkami bawili podróżnych i nazbierali groszy, jedni jak i drudzy z tego tylko żyją.

Wyjeżdżając z Dżibuti, wjechaliśmy na Ocean Indyjski. Dopiero po 6 ciu dniach przybyliśmy do „Colombo" (wyspa Cejlon). O ile dotychczas odczuwaliśmy nadmierne ciepło, to tutaj już gorąco, chociaż to początek grudnia. We dnie na pokładzie przeważnie przebywaliśmy, podczas całej podróży, czytając jakieś książki, obserwując co było można jak: różne wybrzeża, wyspy, wymijane okręty i t. p.; zaś rano i wieczór przypatrywaliśmy się wschodowi lub zachodowi słońca albo księżyca, czego nie można widzieć na lądzie z powodu wzgórz, lasów, czy budynków — również i gwiazdom, których konstelacja tak różna od europejskiej. Przykrzyło się nieraz za lądem, płynąc kilka dni bez przerwy, a że jesteśmy blisko jakiegoś lądu, zwiastowały nam mewy, kręcące się około okrętu, wówczas robiło się weselej, każdy spoglądał rychło li zobaczy ląd. Nadto klerycy „kuli" z podręczników lub odrabiali jakąś gramatykę, zwłaszcza francuską. Ja również paradowałem po pokładzie z elementarzem pod pachą, a jak spostrzegłem coś nowego to i innych kusiłem do przerywania studjów, i do oglądania nowości.

Jak pasażerowie żądni byli rozrywek, niech świadczy i to: pewnego dnia popołudniu urządzili „wyścigi konne" na pokładzie okrętu, mieli kilka „koników" wyrżniętych z deski, ponumerowali je, zaś na pokładzie określili kredą różne pola również numerowane, wylosowywali te koniki płacąc od 50—200 franków za konia, potem posuwali je po oznaczonych polach, według numerów, bawili się do wieczora. Zaś innego dnia urządzili bal na okręcie, bawili się, grali i tańczyli całą noc a nam nie dali usnąć, jeszcze

w dodatku i gorąco dokuczało nam. Dochód tak z wyścigów jakoteż z balu przeznaczyli na wdowy i sieroty po marynarzach. Później jakieś inne wymyślili zabawy. Była też i muzyka okrętowa, na skrzypcach i pianinie grało 2 muzykantów w oznaczonych godzinach dla I kl. a potem dla II kl., w salach tych klas. W miarę jak jechaliśmy na południe, posuwano zegary co parę dni o jedną godzinę, aż doszliśmy do 7-miu godzin różnicy pomiędzy Europą, ja swego nie posuwałem, więc zawsze patrząc na mój zegarek, wiedzieliśmy, co w tej chwili w Krakowie robią, a więc: dopiero wstają, u nas już 11 i t. d. Z dniem 20-go listopada z polecenia X. Krauzego, zaprzestałem golić się, to też w miarę jak zarost powiększał się, zaczęli dowcipkować i dokuczać mi, zwłaszcza klerycy mieli uciechę, podbiegali nieznacznie i „skubali". Widząc, że „wyścigi konne" udały się, powiedziałem, że „wydam polowanie" (na brodzie), może też coś zbierzemy... ale nie pozwolili, „świeckim wolno bawić się, nam nie przystoi", więc zrezygnowałem, a tak moja broda służyła dalej różnym dowcipkom.

W porcie Colombo, na Cejlonie, zatrzymał się okręt znowu na parę godzin, z czego skorzystaliśmy i poszliśmy zobaczyć miasto, ponieważ było nas kilku razem, zwracało to uwagę przechodniów, że tylu misjonarzy europejczyków przybyło, byli też i katolicy, ci witali nas pozdrawiając po swojemu, jeden przybliżył się nawet i pokazuje na ręce, poniżej łokcia pieczęć, z podobizną św. Sebastjana (tatuowana), symbol katolika, jak nam oświadczył, znać było, że człowiek inteligentny, szedł z nami kawałek drogi, informując jak mógł. Tam też po raz pierwszy widzieliśmy „ryksze", a także i „pus pus" zwane, któremi w następnych portach mieliśmy sposobność „wozić się", a na widok tej lokomocji poraz pierwszy budziła się litość i współczucie, że właściciele ich, to jakby niewolnicy wozili swych panów. „Pus pus" jest to wózek na 2-ch kołach gumowych nieco większych od rowerowych, z dwoma dyszelkami, na osi umieszczone siedzenie bardzo wygodne, z budką, którą spuszcza się, lub podnosi (ma to dużo podobieństwa do naszych wózków dziecinnych). Gdy taki „rykszarz" dostanie gościa, wchodzi między dyszelki, ujmuje je, unosi nieco w górę i kłusuje aż na wskazane miejsce, a biegnie taki murzyn lub chińczyk niekiedy prędzej niż nasz konik w Małopolsce wschodniej. Nigdy z gościem nie idzie wolno, wioząc go, ale ciągle biegnie, jeżeli kilku jedzie w jednym kierunku (jak n. p. z nami), to w drodze jeden drugiego nie wyminie, jadą gęsiego,

są numerowani i za każde wykroczenie odpowiadają na policji. W następnych portach było ich coraz więcej, a każdy zaprasza gościa do siebie. W Pekinie jest ich przeszło 50.000, podejmują się kłusu od 30—40 klm.

Z Colombo wysłaliśmy również po kilka widokówek, spieszyliśmy się z życzeniami na Boże Narodzenie, było już 3 grudnia.

Już późnym wieczorem wyjechaliśmy z Colombo, za 5 dni jak obliczaliśmy będziemy w Singapur na Malace, jak zresztą wskazywała tablica okrętowa.

Święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny, obchodziliśmy na okręcie, zaś następnego dnia t. j. 9 grudnia byliśmy w Singapur. Tam również z powodu wyładowywania i załadowywania towaru, okręt zatrzymał się na kilka godzin. Jeden z towarzyszących nam misjonarzy zagranicznych kończył tam swoją podróż, a więc zabrał nas wszystkich ze sobą do Prokury misyjnej, jechaliśmy automobilami, po drodze kazał skierować na jedno wzgórze, gdzie jest kościół pod wezwaniem św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Wprawdzie wewnątrz nie był w zupełności ukończony, ale duży, na pięknem wzgórzu, dominuje nad tą częścią miasta. Ach! jakie błogie uczucia napełniały serca nasze w tym świętym przybytku bożym, tembardziej, że w kościele ostatnim w Europie byliśmy w Lourdes. Prawda, dzięki Bogu, że ze mszy św. i Komunji św. mieliśmy szczęście korzystać każdego dnia, ale tęskno było i nieswojo bez kościoła, chcąc się dłużej pomodlić, odprawić adorację Najśw. Sakramentu i t. d. słuchaliśmy po dwie i trzy msze św., dawaliśmy upust naszej pobożności... a gdzieś w kąciku na pokładzie można było i adorację odprawić, przeniósłszy się w duchu przed Najśw. Sakrament, lecz w kościele nastrój wznioślejszy, mój Boże! z jaką czcią i radością powitaliśmy P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, tego opisać niepodobna. Trudno było oderwać się od posadzki, drżały kolana, nie miało się ochoty stamtąd wychodzić, a tu dopiero połowa drogi. Poszliśmy na chór, stamtąd na taras. Następnie pojechaliśmy do Prokury, gdzie zjedliśmy obiad, pierwszy na lądzie od czasu podróży morskiej. Potem księża poszli na miasto po widokówki, a my korzystając z wolnej chwili i cienia, poszliśmy do kaplicy, gdzie również jest Najśw. Sakrament, odprawiliśmy adorację, drogę krzyżową, odmówili różaniec i modlił się każdy, jak go Bóg natchnął (wszędzie tu w Chinach stacje Drogi Krzyżowej zaczynają się od strony Ewangelji, czyli chodzi się w lewą stronę, z początku trudno się przyzwyczaić).

Tymczasem księża powrócili, wszyscy rzucili się do pisania kartek, każdy zawsze dostał na równi z innymi, poczem posiliwszy się, pomodliwszy, odetchnął każdy w cieniu i ochłodził się, sprowadzili auta i pojechaliśmy do portu, bo zbliżał się czas odejścia okrętu.

Na pokładzie okrętu zastaliśmy pasażerów ukazujących coś na wodzie, otóż jak w Dżibuti tak i tam, podpłynęło, ale już w czółenkach, kilku śmiałków, około 20-letnich, ubrani w majtki, mieli piłkę gumową białą wielkości średniej pomarańczy i stojąc w czółenkach, wiosłami odbijali ją jeden do drugiego. Trafnie im to szło, kilka razy bez przerwy odbijali ją w powietrzu na kilkunastometrowej odległości jeden od drugiego. Jeżeli piłka upadła do wody, podpływał jeden, chwytał ją końcem wiosła i gra szła dalej. I o ile ktoś rzucił do wody monetę, rzucali się na łeb na szyję do wody i znowu ukazywał się, który pierwszy chwycił, wskakiwał w czółenko, w róg którego wrzucał pieniądz, dokazywał dalej, albo porzuciwszy wiosła do wody, wiosłowali rękami i t. d. I oni również ubawili publiczność i uzbierali dość groszy. Jest to ich zarobkowanie na życie. Trwało to, aż okręt ruszył.

Śliczne są, nie do opisania wyspy, zwłaszcza Cejlon, Malaka, ich wybrzeża, zatoki morskie oraz miasta portowe jak: Dżibuti, Colombo, Singapur, Saigon, Hong-Kong i t. d. Przedewszystkiem roślinność i kwiaty, które u nas w Polsce z taką troskliwością pielęgnowane, czy to w doniczkach, czy cieplarniach, to tam (aby im nie ubliżyć), rosną jak nasze kochane polskie wierzby, bo ponad wodą, a mianowicie palmy w najrozmaitszych odmianach, oleandry, drzewa kokosowe (orzechy), banany i wiele, wiele innych drzew, krzewów, kwiatów, owoców nieznanych w Polsce.

Z Colombo do Singapur ciągnęły się wyspy Cejlon, Malaka, a po drugiej stronie (naszej prawej) Sumatra, którą w części z daleka można było obserwować i napawać się tym rozkosznym widokiem, wielbiąc Boga, boć dla człowieka to wszystko stworzył. Z jakim zachwytem i przejęciem przypatrywali się podróżni tym cudom Bożym, któż to wyrazi? Wszyscy cisnęli się jeden przez drugiego, by coś więcej zobaczyć. W jednem miejscu gdy wjechaliśmy w jakąś cieśninę pomiędzy ślicznie bujną roślinnością pokryte wybrzeża, dmuchnął wiatr i 3 podróżnych momentalnie postradało kapelusze, zobaczyli je we wodzie, ale nie było, ktoby je wydostał (szkoda, że nie było zuchów z Dżibuti lub Singapur, byliby coś zarobili), a tak biedacy musieli jechać bez kapeluszy.

W pewnem miejscu na Sumatrze leży jakaś wioska, hen, daleko, widać ją z okrętu. Znać tam uprawne pola, teren podobny zupełnie jak racławicka panorama we Lwowie, pola, laski, wąwozy, odłogi i t. d. Brak tylko kosynierów, a byłaby wojna. Aż dotąd, t. j. do Singapur jechaliśmy przez Ocean Indyjski, teraz wjechaliśmy na morze Chińskie dnia 9 grudnia o godzinie 7 wieczór. Za dwa dni mieliśmy być w Saigonie (Franc-Kochin-China). Drugiego dnia jazdy zauważyliśmy, jakoby okręt krążył z nami, znać to było wyraźnie, bo raz mieliśmy słońce po prawej stronie, raz po lewej stronie. Czy zmylił drogę? Podróżni to zauważyli, poczęli się dopytywać władzy okrętowej o powód i dopiero później dowiedzieliśmy się, że okręt został przestrzeżony przed grożącą nam burzą (telegramem iskrowym) więc nie mogąc jechać naprzód, krążył i zwalniał szybkość jazdy, dzięki czemu uniknęliśmy możliwej katastrofy, a po przybyciu do portu (Saigon) dowiedzieliśmy się o tem, jak straszne tajfun ten powyrządzał spustoszenia. Wiele okrętów nie wyjechało z portu w oznaczonym terminie z tego powodu. Podziękowaliśmy Panu Bogu, że nas oszczędził i przy życiu zachował. Do Sajgonu przybyliśmy 12 grudnia o godzinie 9-tej rano, wjazd do portu z morza Chińskiego mieliśmy prześliczny; mianowicie jedzie się kilka godzin przez rzekę Sajgon; rzeka szeroka, po obu brzegach śliczna zieleń, szczególnie dużo palm, są osady, pola ryżowe, łąki, tu i ówdzie łódź rybacka płynie, tam jakaś odnoga, dalej rybacy rozłożyli ogniska, a nawet jakąś kapliczkę czy kościółek zauważyliśmy — a był czas przyglądnąć się, bo jechaliśmy aż 4 godziny. Jedzie się tą rzeką wężowato, bardzo krętą, to też okręty płyną po niej wolno, nadto w różnych miejscach zwęża się, to znowu rozszerza, zasilana dopływami innych rzek. Dzięki Panu Bogu i towarzyszącym nam księżom z Misji zagranicznych, opuściliśmy okręt i zamieszkaliśmy w Prokurze misyjnej na cały czas.

Nigdy nie zapomnę, jak było nam tam dobrze. Wygodne mieszkanie, w dużej sali na piętrze, by nie być napastowanym w nocy przez moskity lub inne towarzystwo, a pełno jaszczurek, podobnych do małych krokodylików łaziło po zewnętrznych stronach ścian. Łóżka mieliśmy osłonione siatką ze wszystkich stron, przewiew umożliwiał spanie w nocy, a nawet w dzień, jeżeli ktoś chciał. Nadto korzystaliśmy z tuszu dwa razy dnia; trzeba wiedzieć jakie mieliśmy upały, choć był to grudzień. Na okręcie n. p. nie można było usnąć w kabinie, to też nasi klerycy uciekali w nocy

na pokład, na leżaki, ale i tam niewiele skorzystali, ja tylko jedną noc spędziłem na pokładzie, lecz z powodu szumu fali odbijanej, mniej spałem jak w kabinie, więcej nie chodziłem. Zaś z kąpieli tak we wannie, jakoteż tuszu, korzystaliśmy od czasu do czasu i na okręcie.

Dom Prokuratury w Sajgonie wielki, jest i kaplica, w której jest stale Najśw. Sakrament, tam można było spokojnie i do syta modlić się. Jest 5 ołtarzy, przy których księża odprawiali msze św., główny N. S. Pana Jezusa, a boczne Najśw. Panny Marji, św. Józefa, św. Franciszka Ksaw. i św. Tereni, przy którym odprawiał zawsze nasz X. Krauze, a my przystępowaliśmy do Komunji św. Z rana, póki nie było jeszcze tak gorąco i wieczorem, właściwie popołudniu, jak już temperatura spadała, zwiedzaliśmy miasto i jego niektóre zabytki (temperatura była tam od 30—35° C i wyżej).

Kościół katedralny duży, wspaniały, murowany z cegły i dużo też z kamienia, z dwoma wieżami i zegarem; ponieważ jest też niedaleko prokura, byliśmy kilka razy, zwłaszcza byliśmy tam na mszy św. w niedzielę 15 grudnia. Śpiewał chór chłopców, prowadzony przez braci szkolnych, było i kazanie. Pomimo, że z rana i kościół duży, było pełno ludzi, zwłaszcza z inteligencji, zaś wokoło kościoła pełno było samochodów, którymi przyjeżdżali. Po mszy św. umykało wszystko, bo robiło się już gorąco. Jest i w tym kościele ołtarz św. Teresy, pełno tam wmurowanych tablic marmurowych z wyrytemi napisami „Merci" (podobne do cegiełek w Krakowie na Wawelu). Miasto czyste, ulice asfaltowe, sklepy dość bogate, jest teatr i t. d. Zwiedziliśmy ogród zoologiczno-botaniczny, duży zajmujący obszar. Tuż u wejścia po prawej stronie jest pagoda anamicka tylko jako rzecz muzealna, a po lewej muzeum, w którem pełno bożków pogańskich większych i mniejszych, przed którymi tlą się knotki na ich cześć, znamionujących kadzidło, jakieś trofea pogańskie, jest też i sala bibljoteczna, do której nie wpuszczają ogółu, poza tem niema tam nic zasługującego na szczególniejszą uwagę. Zaś w ogrodzie prześliczna roślinność i rozmaitość kwiatów, drzewa olbrzymie u nas nieznane; kaktusy w różnych odmianach, całe krzaki fikusów, dracyny, palmy, kokosy i wiele, wiele różnych podzwrotnikowych roślin; ogród w porządku utrzymywany, pełno ludzi pracuje w nim. Jest dużo zwierząt, ptaków, płazów i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasze Misje w Brazylji.

(Ciąg dalszy).

Thomas Coelho.

Dobrze się złożyło, że pierwszą naszą misję na ziemi brazylijskiej mogliśmy odprawić w Thomas Coelho. Ma przecież ta parafja najpiękniejszą przeszłość i najdawniejszego proboszcza z pośród Misjonarzy. Już w r. 1876 powstała kolonja z emigrantów z pod Gorlic i po części z Prus Zachodnich, a tutejsi Polacy mają tę zasługę, że rozrastając się stąd, zakupowali się na nowych dalszych kolonjach, wysłali stąd, setki rodzin polskich w różne strony Parany. Ale stanu posiadania w Thomas Coelho niepotracili, nie porzucali starych kolonij. X. proboszcz zaś, którego znaliśmy i ceniliśmy od dawna, od bardzo dawna, bo przecież był naszym profesorem w Krakowie w małem seminarjum, tu przybył już 4 lipca 1903 r. z pierwszą wyprawą Misjonarzy z X. Chylaszkiem i X. H. Dylą i na tej samej parafi pozostaje po dzień dzisiejszy. Od 27 lat orze tę samą rolę, pod jego okiem rozwijała się kolonja, wyrastały pokolenia, jego troskliwością i delikatnością urabiają się dusze parafjan. Żadna parafja polska w Paranie, w całej Brazylji niema tej ciągłości i równolinijności w pracy duszpasterskiej, zapewnionej przez tego samego pasterza przez tak długi szereg lat. Zna też swoich jak nikt i znają go swoi i nie widziałem nigdzie tak szczerego przywiązania do pasterza jak w Thomas Coelho, bo z nimi dzielił wszystkie przejścia i strapienia, wszystkie chwile doli i niedoli, co ich bolało, jemu boleść sprawiało, co ich cieszyło i dla niego było radością.

Dobrze było i to, że przed definitywnem rozpoczęciem misji, mogliśmy dokładnie zaznajomić się z stanem parafji,

bo po przybyciu do Parany pozostało nam parę dni wolnych. Obróciliśmy je na rekolekcje, które X. Bieniarz w Orleans głosił przez 8 dni dla Sióstr Rodziny Marji, a ja w Kurytybie w Abrigo dla Sióstr Miłosierdzia, a nadto na bliższe poznanie życia kolonistów. Było to przecież zupełnie nowe dla nas, a tak odrębne od wszystkiego w kraju. Zabrał mnie też X. Bayer na Narodzenie św. Jana do Krystyny, gdzie stoi piękna murowana kaplica budowana przez niego, a choć należy terytorjalnie do parafji Campo Largo, to jednak oddawna już kolonja Krystyna jest obsługiwana przez proboszcza z Thomas Coelho, mimo odległości 18 km. Dawniej X. Bayer obsługiwał nawet Prudentopolis, o paręset kilometrów odległe, zanim tam osiedli Misjonarze. Do Krystyny jechałem z całą ochotą, bo odpust „festa" łączy się z szuraskiem (churasco, mięso pieczone na patyku) i z lejlonem (leilao — loterja). Niektórzy księża polscy te szuraska kasują i nie są im łaskawi, bo dają czasem sposobność do nadużyć w przebieraniu miary. W Thomas Coelho tego n. p. już niema, bo koloniści mają względnie blisko do domu, a oprócz tego są konserwatywni w zwyczajach starych polskich i niechętnie przyjmują nowe. W Krystynie zaś będą ludzie z większych odległości na cały dzień i nie będą mieli gdzie się posilić, a będą taksamo i Brazyljanie z Campo Largo. Jadąc między lasami i szakrami polskimi, zatrzymaliśmy się przy wendzie p. Mikosza. Chacara oznacza działki, na jakie przy rozmiarach podzielono ziemię kolonizowaną. Polacy z tego słowa zrobili „szakier". Zwyczajnie szakier ma 250 na 1000 metrów czyli 25 hektarów. Każdy kolonista ma więc conajmniej taki szakier 25 hektarowy, a bardzo wielu posiada ich kilka i kilkanaście. Stała się rzecz zabawna. Kiedy pierwsi koloniści przybywali z byłej Galicji i rządowi miernicy parcelowali lasy pod Kurytybą, chcieli każdemu dać działkę 10 alkrową (alqueire, alkier = 2,42 hektara, 10 alkrów = 24,2 hektarów). Ale koloniści na oko osądzając przestrzeń dziesięcioakrową lasów, przerazili się i utrzymywali, że przecież takiego bezmiaru lasów dziewiczych przez całe życie nie wyrąbią ani po wyrębie nie

zdołają obsiać i uprawić. Przybyli z stosunków małorolnych zachodniej Małopolski, a bardzo wielu nigdy nie posiadało całej morgi pola, więc ta łatwość nabycia ziemi wprost ich przestraszyła. Dlatego na ich własne żądanie robiono tu działki czteroalkrowe czyli po $9^1/_2$ hektara i sprzedawano za 150 milrejsów (150 złp.). Stąd to w Thomas Coelho i wogóle pod Kurytybą szakier ma tylko cztery alkry (czyli $9^1/_2$ hektara), kiedy wszędzie indziej w Paranie, Sta Catharina i Rio Grande do Sul szakier wynosi 10 alkrów, czyli 25 hektarów.



Przed kościołem w Thomas Coelho.

Później też spostrzegli się koloniści, że potrafią uprawić nietylko 25 hektarów ale i więcej, skupowali coraz więcej ziemi. Niektórzy posiadają 100, 300 i więcej hektarów. Tu też widziałem pierwszą wendę i jakkolwiek wiele już słyszałem o wendach i wendystach, to z zainteresowaniem patrzałem na to, co tu się dzieje. To nic innego tylko sklep, kram, skład. Zwyczajnie taka wenda ma i szynk. Prawie wszystkie fury przed wendą się zatrzymują. Wenda jest nieodzownym współczynnikiem w rozwoju kolonji. Odkupuje od kolonistów wszystkie ich produkty i odstawia do miasta. Ma na składzie artykuły, które kolonistom są potrzebne. Słyszałem

też różne zdania o wendystach. Zapewne, że mogą dziać się nadużycia tak przy handlu, że wendysta krzywdzi kolonistów, kupując za bezcen produkty od nich, które potem w mieście drogo sprzedaje do hurtownego handlu, albo że rozpaja się ludzi słabej woli. Ale wogóle o całym zawodzie tego powiedzieć nie można, ani odnieśćbym tego nie śmiał do tego pierwszego wendzisty, którego poznałem i który od pierwszej chwili zaraz nadzwyczajnie korzystne robi wrażenie pod każdym względem. Spotykałem się później z nim nieraz i tylko potwierdzał wrażenie pierwsze. Zatrzymać musieliśmy się tu, bo nasz konik psuł, skakał, denerwował się i tak się zmęczył wierzganiem, że nie można go było brać dalej. X. proboszcz go tu zostawił, a p. Mikosz chętnie i uprzejmie pożyczył swojego konia do naszej aranji (aranha, pająk, lub dwukołowy wózek, który podobno wygląda jak pająk, ale nie wiem dlaczego).

W Krystynie po nabożeństwie przy pełnym kościele, przy blaskach słonecznych koło południa, wśród rozgwaru, odbywa się szurasko i lejlon. Kiedyśmy wyszli z zakrystji, X. Bayer pokazał mi jedno i drugie. Tu miejsce ogrodzone. Za ogrodzeniem kadzie, w nich mięso wołowe. Obok rowki w ziemi wykopane, w których żywy ogień się podtrzymuje Na patyki długości laski zatyka się kawał mięsa, to trzyma się w ogniu, aż się opiecze. Kto zapłacił mila, otrzymuje patyk z mięsem. Już rozgościli się rodzinami na trawniku, pod drzewami, pod krzakami, pod wozami Polacy i Brazyljanie i każda grupa siada kołem. Wydobyli chleb przyniesiony z domu, dwa lub trzy patyki zatykają w ziemi, ucinają fakiem po kawałku mięsa i posilają się darami Bożemi. Szurasko ma prawo obywatelstwa w Brazylji od dawien dawna. Już Indjanie żyjący z polowania, a łakomi na mięso, tak się żywili pod gołem niebem. I dziś ani festa (odpust) Brazyljan, ani wybory do rady municypalnej, czy na prezydenta, bez niego się nie obejdą. Pod drzewem rozłożystem tuż przy kościele, ustawiono olbrzymią estradę, na niej stół z przeróżnemi fantami, za stołem Brazyljanin, który zachwala

fanty i wywołuje coraz wyższe ceny. Zwykle ceny trzymają się wartości fantu. Ale w chwili podniecenia, wywołanego rywalizacją zabawną wśród rozbawionych, dochodzą do fantastycznej wysokości.

Tembardziej interesowało nas wszystko, cokolwiek dotyczy Thomas Coelho. Za czasów kolonizacyjnych stały tu baraki emigrantów, których rozmieszczano po koloniach. Stały i później i rozsyłano ich stąd po całej okolicy. Dziś



P. Konsul przed Domem Kółka Rolniczego w Thomas Coelho.

ludności liczy się na całym terenie 580 rodzin polskich i 40 rodzin brazylijskich. Rozmieszczone są: z przynależnością do kościoła św. Michała rodzin polskich 320, innych niema, do kościoła Matki Boskiej (4 km odległości), 80 rodzin polskich i 40 brazylijskich, do Krystyny 180 rodzin polskich.

Wprost imponujące robi wrażenie kościół św. Michała, stojący na wzniesieniu znacznem. Proszę spojrzeć nań od drogi z gospodarstwa p. Gembarowskiego. Rozumiem, że ten najinteligentniejszy z tutejszych gospodarzy z radością patrzy na wzgórze, na którem stoi kościół, budynki plebańskie, cmentarz i z którego dolatuje głos dzwonów kościelnych Kiedy się stąd patrzy na ten zespół budynków o białych

murach i czerwonych dachach, w obramowaniu strzelistych cyprysów i czarnych kryptomerów, a z pinjorami na dalszym horyzoncie, ma się w naturze wrażenie starego opactwa benedyktyńskiego z zamierzchłych epok w cienistem zaciszu górskiem. A historja jego nie dawna. Kaplicę murowaną wybudował rząd w początkach kolonizacji jeszcze za cesarstwa, za czasów X. Franciszka Soji, który tu przybył z pierwszą falą emigracyjną 1876 r. Ta jednak wkrótce okazała się za szczupłą i X. Jan Adamowski objąwszy parafję Thomas Coelho w 1884 r., rozszerzył ją do dzisiejszych rozmiarów. Dawna kaplica pozostała nietknięta i stanowi dzisiejsze prezbiterjum. Dzielną pomoc ma X. Bayer w osobie X. Szymona Sojki, który tu jest od września 1928 r. a nastał po X. Ignacym Zabrzeskim, kiedy tenże przeniesionym został na terytorjum sławnych redukcij, do Guarany w Rio Grande do Sul.

Wyrazem obecnego ruchu w parafji i pracy księży niech będą następujące dane: w r. 1929 chrztów było 88 (a 25 w Krystynie), ślubów 25, chorych 42, spowiedzi 5097, komunij 7230, pierwszej Komunji św. 45 (a 56 na Krystynie). Nabożeństwa w kościele św. Michała: w każdą niedzielę i każde święto suma o godzinie 10·30 z kazaniem, w dni powszednie msze św. o godzinie 7—8. W Krystynie w drugą niedzielę miesiąca (raz na miesiąc) suma i kazanie o godzinie 10·30. W kościele Matki Boskiej w każdą niedzielę i święto suma i kazanie o godzinie 9. W drugą niedzielę miesiąca jest więc w Thomas Coelho tylko jeden ksiądz, bo drugi już wyjechał w sobotę i zostaje całą niedzielę w Krystynie. Toteż ten, który jest w Thomas Coelho, rano odprawia o godzinie 9 w kościele Matki Boskiej, a potem binuje w kościele św. Michała. Z podziwem byliśmy dla X. Proboszcza, bo widzieliśmy, że nie wyręcza się młodym konfratrem, ale wszystkie prace bierze na równy podział i dotrzymuje kroku najmłodszym, pomimo niemłodych lat (r. 1865). To w nabożeństwach, w spowiedzi, w kazaniach, jak w wyjazdach. To samo w katechizacji. Na miejscu uczą księża katechizmu

przez pół roku, przed pierwszą Komunją św. stale (oprócz nauki religji stałej w szkole Sióstr Miłosierdzia), a w kaplicach z okazji każdego wyjazdu.

Idziemy do Sióstr Miłosierdzia, a potem na zebranie Kółka rolniczego. Teren, na którym stoi dom Sióstr Miłosierdzia i ogród, zapisane są na Siostry Miłosierdzia (kościół i kaplice zapisane są stosownie do prawa diecezjalnego na mitrę, t. j. na biskupa). Dom Sióstr Miłosierdzia nieduży, ale wystarczający na pomieszczenie sióstr i szkoły. Sióstr jest tu pięć i prowadzą szkołę dwuklasową z 105 dziećmi polskiemi. Nadto mają siostry internat, w którym jest 24 dzieci. Na przyzwoite pomieszczenie internowanych dzieci brak miejsca, zdałoby się więcej przestrzeni. Niskie jednak opłaty nie pozwalają na rozszerzenie budynku. Siostry oprócz szkoły prowadzą ambulatorjum i aptekę, a nadto odwiedzają chorych po domach Z pomocy ambulatoryjnej korzystali chorzy w 1020 wypadkach. Szwalnia Sióstr udziela nauki szycia dla 24 dziewcząt z kolonji. Jak wszędzie kierują, tak i tu Siostry stowarzyszeniem Dzieci Marji, które liczy 107 członków.

Thomas Coelho ma chwałę pierwszego Kółka Rolniczego polskiego na ziemi brazylijskiej. Duszą i sekretarzem jego był i jest X. Proboszcz. Okazały jest Dom Kółka Rolniczego, stojący poniżej kościoła, przy drodze prowadzącej do Kurytyby. Prezesem jego ruchliwym, inteligentnym, pełnym inicjatywy jest p. Gembarowski, pochodzący z Tuchowa.

Kółko Rolnicze przez zebrania wprowadza racjonalną uprawę ziemi, płodozmianów, hodowli bydła i t. p. Przez stosunki z rządem parańskim, uzyskuje Kółko po zniżonych cenach nawozy sztuczne, środki do immunizowania pszenicy, ziarno na zasiewy. W rolnictwie jest jego wpływ widoczny Kółko Rolnicze przy kościele św. Michała założono 1914 r. i liczy obecnie 95 członków, Towarzystwo Rolnicze zaś pod wezwaniem św. Jana Kantego założone zostało 1906 r. na Nowych Rosach, mając dziś 60 członków. Warto to podkreślić dziś, kiedy wszędzie zakłada się Kółka Rolnicze po kolonjach i kiedy Union Rural istnieje, że początek tego

ruchu wychodzi z Thomas Coelho i że tylko szkoda, że z takiem opóźnieniem wzięto się do naśladowania wzoru gotowego od tak dawna.

Ruch stowarzyszeniowy wogóle jest znaczny w parafji. Obok bowiem towarzystw wymienionych jest jeszcze na Krystynie Towarzystwo św. Kazimierza z 40 członkami. Wśród bractw zaś kościelnych istnieją Żywy Różaniec z 45 różami, Serce Pana Jezusa i Stowarzyszenie Dzieci Marji z 107 członkami. We wszystkich, tak w bractwach kościelnych, jak ·towarzystwach o charakterze ekonomicznym i społecznym duch religijny niepodzielnie panuje, a poczucie społeczne stoi wysoko.

Szkolnictwo w miejscu jest pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia i jak już widzieliśmy jest 105 dzieci w klasach szkolnych. Szkoła druga istnieje na Rosach Nowych, gdzie uczęszcza dzieci 36. Jest szkoła i w Krystynie, ale z powodu niedbalstwa czy niezgody wśród kolonistów zasnęła. Niema w niej nauczyciela, niema dzieci szkolnych. Razem więc jest dzieci szkolnych 141. Na 580 rodzin polskich jestto procent stanowczo za niski i dowodzi, że koloniści nie doceniają znaczenia szkoły i nauki.

Poznaliśmy już Gembarowskiego, który pobudował sobie nie rancho, nie chałupę, ale dworek, w którym mieszka dostatnio, z werandami od frontu i z boków, z ogrodem kwiatowym między ulicą a domem, z licznemi zabudowaniami gospodarczemi za nim. A przyszedł jak tylu innych z dziesięciu palcami. Poznaliśmy również p. Józefa Zawilińskiego. Córka jego już w Brazylji rodzona jest Szarytką polską w Abranches. Zawiliński ma w ogrodzie przed domem mnóstwo drzew pomarańczowych, za domem las z ogromnemi pinjorami, wielkiemi na 3 i 4 metry paprociami, z drzewkami herwowemi (herva mate). W domu, jak w domu polskim gdzieś pod Gorlicami. A poza domem na naszą prośbę bardzo chętnie nam pokazywał całe gospodarstwo. Między innemi piec, w którym praży się herwę, potem młyn, w którym miele się mandjokę, las z pinjorami tak

potężnemi, że 3 mężczyzn pnia nie zdołałoby objąć. Sąsiada jego zastaliśmy przy tępieniu mrówek, które najazd zrobiły na tatarkę. Poniżej kościoła Jan Filipak ma cegielnię, Pijanowski fabrykę słomianek. A Budziak, Woźniak, Trzaskoś i Rybka, to wszystko nazwiska, które tak jakoś dziwnie się słyszy pod płomiennem niebem południowem, pod parasolami pinjorów, na czerwonej glebie brazylijskiej, wśród wrzasku papug, a te płowe główki dzieci i wąsy płowe mężczyzn, te szare oczy, te ostre ich rysy, te „cerwone chustecki" i barwne kiecki dziewuch i kobiet, tak tu jakoś nie pasują i mimowoli szuka się nad głowami ich polskiego, szarego nieba, obok nich polskich równin i łanów zbóż, śpiewu skowronka i klekotu bocianów, białej brzozy i płaczącej wierzby... Daremnie. Minęło. To inne. Tu wszystko inne. Tylko ich język tensam. Tylko z wieży na wzgórzu taksamo woła ten dzwon...

Ci młodzi tego słuchali, jak o księżycu, jak o bajce, kiedyśmy tak radzili pod kościołem o Polsce, starszym łza błyska w oku. Ale jaki taki wąsa tylko podkręcił. Zresztą już też czas na nabożeństwo, bo misja w całej pełni. Ale dla mężczyzn i chłopców. Tak bowiem rozdzieliliśmy misje, że przez jeden tydzień były dla kobiet i dziewcząt, a w drugim tygodniu dla mężczyzn i chłopców. Podzielą się lepiej i będą mogli jedni być w kościele, kiedy drudzy dopilnują gospodarstwa domowego. Nikogo też nie brakowało. Starych, chorych przywożono do kościoła. Byli tacy, którzy od kilku lat chorobą przykuci do łóżka, jednak kazali się zawieść. Promieniał z radości proboszcz. Od rana do wieczora kościół był pełny. Do sakramentów św. wszyscy przystąpili. Rano nawet, w ciemnościach jeszcze, zanim kościół był otwarty, gromadka już klęczała pod drzwiami kościelnemi rozmodlona w rosie porannej. Duch religijny, wiara ojców tkwią w nich głęboko. Na pierwszej mszy św. śpiewają Godzinki sprawnie na pamięć, na sumie stare pieśni polskie z przejęciem. Starzy je pamiętają z kraju, młodzi się douczyli tutaj. Po południu na Drodze Krzyżowej wszyscy z głębi

duszy wołają chórem: „Któryś cierpiał za nas rany“, na błogosławieństwie: „Przed tak wielkim“ na melodję z nad brzegów Wisły. W kazaniach jedni słuchają z oczyma wpatrzonemi w kaznodzieję, a na twarzach ich, w oczach ich widać żywy refleks słów Misjonarza, inni zapatrzeni przed siebie „stosując w sercu swem“, z wyrazem nie stępienia, ale



P. Konsul Downarowicz i p. Konsulowa w ogrodzie plebańskim w Thomas Coelho, X. Bayer, X. Sojka, X. Szymbor.

zmęczenia życiem, twardą walką o byt, przejściami, latami. Nie było słodkie ich życie, nie.

W kościele Matki Boskiej tensam gorący udział w Misjach.

Przez trzy tygodnie odprawialiśmy misje w parafii Thomas Coelho. A przez cały ten czas z przyjemnością śpieszyli z pomocą w słuchaniu spowiedzi księża sąsiedni. Pociągała nietylko konieczność pomocy, ale i osoba X. proboszcza. Przybył X. Bronny, wicewizytator z Kurytyby i X

Kandora, proboszcz z Orleans. Przecież X. Bayer i ich był profesorem w Krakowie przed 36 laty. Przybył X. Chylaszek z Catanduva. To z nim X. proboszcz należał do pierwszej wyprawy misyjnej do Parany i oni otwierali daleką drogę do pionierów w dziewiczych lasach brazylijskich. Przybył X. Góral z Abranches, który był po nim kapelanem w szpitalu św. Łazarza i w Brazylji przez niego był przyjmowany. X. Warkocz z S. Candida, X. Pałka nowy redaktor „Ludu" z Kurytyby, X. Edward Pinocy, dopieroco przybyły z Polski, wszyscy radziby przysłużyć się w czemkolwiek proboszczowi w Thomas Coelho. W końcu zawitał i X. Posadzy z Poznania, który wysłany przez J. E. X. Kardynała Prymasa do Ameryki Południowej celem zebrania informacyj o duszpasterskiej opiece nad wychodźcami, uważał sobie za obowiązek pierwszą wizytę złożyć seniorowi duszpasterzy X. Bajerowi. Dla nas wszystkich zawsze X. proboszcz miał tę życzliwość i delikatność, o której nie mówiliśmy, ale którą odczuwaliśmy i ocenialiśmy wszyscy. Ma zresztą tę samą delikatność w stosunku do parafian. O „iura stolae", o taryfach i taksach tu nigdy niema mowy. Przy pogrzebach, chrztach, ślubach, wyjazdach tej kwestji niema. Powiadali niektórzy, że zbyt jest delikatnym na tym punkcie. W każdym razie wiedzą o tem parafjanie i z tego powodu nikt nie słyszał z ich strony niezadowolenia, ni skargi. Jest im ojcem, jak nigdzie nikt drugi. Niczego nie zrobią bez rady proboszcza. Nieraz zostawiał nas samych, bo przychodzili się radzić w kłopotach. W sporach familijnych i sąsiedzkich, zrobią tak, jak proboszcz poradził. W niezgodach i nienawiściach, które misje przypomniały, posłuchali, jak proboszcz im kazał. W kupnie, w sprzedaży, w złożeniu na bank, w oddaniu dziecka do wyższych szkół, w Kółku Rolniczem, w założeniu fabryki, w wycięciu lasu, w próbie nowego zasiewu, zawsze trzeba zobaczyć, co X. proboszcz na to powie.

Był X. Posadzy krótko w Thomas Coelho, tylko jeden dzień. Ale i jego wspomnienia są jak najlepsze. Był na św. Wincenty, w dzień odpustu. Oto, co o nim spamiętał:

Było to w pierwszych dniach mego pobytu w Brazylji. Zaproszono mnie na odpust na kolonji polskiej w Thomas Coelho. Pierwszy mój odpust brazylijski. Chętnie skorzystałem z nadarzającej się okazji.

Im bliżej kolonji, tem więcej ludzi i ruchu. Jechały wasągami polskiemi kobiety w kolorowych chustach na głowie, odświętnie ubrane i strojne. Wasążki były umajone i konie łyskały uprzężą paradną. Przy wymijaniu, coraz padały wzajemne powitania albo „Niech będzie pochwalony".



Krajobraz.

Gospodarze i chłopacy na koniach. Barwne skóry baranie „pelegi", narzucone na wysokołękie siodła, pstrzą się wszystkiemi kolorami. Jeźdzcy wyglądali dość buńczucznie Na głowach mieli zwykłe czapki lub też amerykańskie kapelusze o szerokich rondach. Szyje obwiązali sobie chustami jaskrawo bronzowemi na sposób brazylijski.

Na wzgórzu, wśród cyprysów zielonych, bieleją wieże kościoła św. Michała. Przed kościołem ciżba. Budy z świętościami pod płotem. Opodal mrowisko wozów i wasągów.

Wchodzę na plebanję przez ogród, pełen palm i kwitnących pomarańczy. Tutejszym zwyczajem klaszczę w ręce. Na znak ten otwierają się drzwi. Zastaję tu kilku księży mi-

sjonarzy, przeważnie sąsiadów z pobliskich kolonij, pomiędzy nimi także X. Bieniasza i X. Szymbora, przybych niedawno z Polski.

— W imię Ojca, kogo ja widzę? — woła X. Bieniasz, mój dobry znajomy z Poznania. Jaki ten świat jest mały! To nawet w Brazylji można się spotkać?

W tem też nadjechał proboszcz parafji X. Boleslaw Bayer. Wracał z nabożeństwa, które był odprawił w drugim swym kościółku Matki Boskiej Bolesnej. Zabawnie trochę wyglądał ów siwowłosy duszpasterz z podwiniętą sutanną na krwistym kasztanie. Od 27 lat na koniu! Sprawili mu na jubileusz parafjanie piękną „aranję", bryczkę dwukołową. Woli jednak swego kasztana.

Witam X. proboszcza z pewnem rozczułeniem. Zbyt dużo slyszałem o tym zasłużonym kapłanie-patrjocie. 27 lat na takim posterunku! Zawsze przy pracy, czy w kościele, czy w domu, czy też wśród kolonistów. Za jego inicjatywą powstaje Kółko Rolnicze. On to sprowadza maszyny rolnicze, lokomobile i młocarnie do wynajmu. Godzi powaśnionych, służy radą na zawołanie. Śpieszy z pomocą nawet lekarską w razie potrzeby. Iluż to kolonistów uratował on od niechybnej śmierci z powodu ukąszenia przez żmije jadowite! To też kochają go wszyscy niby ojca. Na pobliskim cmentarzu gotowy ma nawet grobowiec, wśród palm prastarych.

— Nie puścima go — mawiają parafjanie — probosculek to nas za życia i po śmierci.

Idziemy do kościoła. Przy konfesjonałach ścisk. Tłoczą się dębczaki młode, chłopięta i starzy wąsale. Niektórzy boso, w trepkach tylko, tutejszym obyczajem. Cisną się Ślązaczki w granatowych grubych sukniach i w białych koronkach. Wśród nich czerwienią się zapaski mazurskie, bieleją białe chusty podlaskie. Zaczynają śpiewać:

„Serdeczna Matko, opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierót, do litości wzbudzi".

I runęła pieśń tułaczy polskich do Polski Królowej. Runęła grzmiąca pod belkowe wiązania i echem się odbiła

potężnem. Wyleciała na dwór, a inni ją podchwycili i rzucili pod niebiosa... I odbiła się od ziemi, by mocnym akordem wznieść się coraz wyżej, aż pod sam tron Najświętszej Panienki.

Donośnie odezwał się targnięty mocno trzykrotnie dzwonek. Wszyscy spojrzeli w tę stronę. W złocistym ornacie wyszedł X. Bronny, przełożony XX. Misjonarzy, w otoczeniu asysty. Na chórze zagrały organy, odezwały się śpiewaczki. Suma się zaczęła.

Chór z wprawą i znajomością dźwięcznemi głosy śpiewał „Kyrie“. Po kościele chodziły stłumione szepty i westchnienia. Ten i ów szeptał pacierze z starokrajskiej jeszcze książeczki. Większość jednak u koronki przesuwała pobożnie paciorki. Woń kadzidła i potu ludzkiego mieszała się z silnym zapachem drzewa cedrowego i szafranu.

Po ewangelji na drewnianej ambonie stanął X. Bieniasz. Cisza się rozlewała wkoło. Głowy się pochyliły. Słońce przedarło się przez wielkie okna i buchnęło wprost w ambonę. Złociste promienie jęły muskać uduchownioną twarz kaznodziei i wysrebrzyły siwizną przyprószone włosy.

Kaznodzieja przeczytał ewangelję. Poczem, przeżegnawszy się, spojrzał po ludziach.

„Najmilsi w Chrystusie, kochani Rodacy! — rozpoczął jakby onieśmielony. — Gdy patrzę na ten łan żywych polskich kłosów, chylących się tutaj na brazylijskiej ziemi przed majestatem Bożym, mimowoli słowa św. Pawła cisną mi się na usta: „Wam tedy wierzącym cześć! Cześć wam młodzi, cześć wam starzy, cześć tobie ludu polski, że chociaż oceany cię dzielą od twej ojczyzny, ty jednak wiernie trwasz przy wierze naszych ojców“.

Pierwsze kobiety zaszlochały, a potem i chłopom łzy zakręciły się w oczach. Powstał ogromny płacz w kościele. Szedł falą po ludziach, niby fale tego oceanu ogromne, przez które to do Polski prowadzą drogi.

„Kochani Rodacy! — mówił dalej kaznodzieja — pięćdziesiąt przeszło lat temu przyszliście tu z pod Gorlic i Opola.

Krwawe to były godziny, pełne tęsknoty za Polską, pełne niepewności o jutro. Na tem miejscu, kędy teraz stoimy, szumiał bór dziewiczy, odzywały się ryki dzikich zwierząt, nastawał na wasze życie dziki Indjanin".

I znowu dziwna żałość chwyciła wszystkich za serce, a łzy dalej lały się ciurkiem.

„W imię Boże zabraliście się do pracy — ciągnął dajej sługa Boży. Twarda wasza dłoń rąbała odwieczne cedry, imbuje, pinjory. Nic nie oparło się jej ciosom. I Bóg błogosławił waszej pracy. Tam, gdzie przeszła noga wasza, wyrastały kłosy żyta, krzewiła się manjoka i kukurydza. Dziś każdy ma własną zagrodę na własnej ziemi — choć w obcym kraju".

Umilkł znowu, jakby go coś za piersi szarpało... Dłonią powiódł po czole, poczem opuścił ją i mówił dalej.

Mówił o wierności Bogu i Polsce. Nawoływał do jedności i zgody, zachęcał do wytrwania pod błękitnym sztandarem Królowej Korony Polskiej.

„Serca wasze nie spoczną już nigdy na łonie tej dobrej Matki Polski — kończył kapłan Boży. — Oczy wasze już nigdy nie ujrzą ojczystych pól, kości wasze nie ułożą się na sen wiekuisty w polskiej ziemi. Za to dusze wszystkich dobrych Polaków kiedyś w królestwie Bożem się połączą, gdzie już też więcej nie będzie ani tęsknoty, ani rozłąki. Amen".

— Panie Boże zapłać! — wołali wszyscy ze łzami. Ksiądz zeszedł z ambony.

Po sumie zaczęto się szykować do procesji. Wynoszono feretrony, umajone mirtem i storczykami. Rozwijano chorągwie z polskimi patronami i orłem polskim.

Zaszczycił mnie X. Bajer odprawieniem procesji. Czułem się niegodny tej wielkiej łaski. Posłuszny jednak woli naszego gospodarza, rozpocząłem święte obrzędy.

Zaintonowałem: „Twoja cześć i chwała". Podchwycili pieśń księża, potem gospodarze ze świecami przed balda-

chimem, dziewczęta z liljami i dziecięta maleńkie, co kwiateczki rzucały Jezusowi. Poczem już śpiewał wszystek lud.

Wyszliśmy z kościoła. Dzwony, rozkołysane we wysokich wieżycach, dzwoniły i niosły hen daleko wieść o uroczystej chwili. Słońce zalewało nas blaskami. Niebo było czyste. Jeno maleńkie pierzaste obłoczki snuły się leniwie nad nami. Niebieskie wielkie motyle towarzyszyły nam zgóry. Papugi zielone, koliberki i różne egzotyczne ptaszyny świerkały po kryptomerach, co w granatach się mieniły.

Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Śpiewali potężnym akordem, jakoby uwagę niebios na siebie zwrócić chcieli. I zdawało nam się, że niebo się otwiera, że Bóg sam wsłuchuje się w pienia ludu polskiego na brazylijskiej ziemi.

Czuliśmy wszyscy, że tu Polski kawałek, choć palmy, pinjory i kryptomery szumiące mówiły nam coś innego.

Po procesji zaczęli ludzie tłumnie wychodzić i rozeszli się na obiad. Jedli po wasągach chleb z kukurydzy z czarną fasolą „fiżonem". Inni szli do szkoły zakonnic, gdzie na nich suto zastawione czekały stoły. Ci, co bliżej mieli, jechali do domu. Na nieszporach znów byli wszyscy. Poczem zaczęli się rozjeżdżać zadowoleni z uroczystych nabożeństw i wspólnie przeżytych chwil.

Dla mnie zaś dzień ten przyniósł tyle wrażeń, że długo nie mogłem usnąć. Wstałem przeto i chodziłem po plebańskim ogrodzie. Obłok nieba roziskrzył się miljardami gwiazd. Nieznany mi dotąd gwiezdny krzyż błyszczał na południowej stronie. Ogromne puhacze przelatywały ponad drzewami. Potem drzewa, krzewy, las, miękliwość brała w swoje ramiona. (C. d. n.).